



ELIZA ORZESZKOWA

Ascetka


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

ELIZA ORZESZKOWA

Ascetka

W chwili kiedy *Ascetka*, ukazująca się po raz pierwszy w wydaniu książkowym, oddana została pod prasę, nadeszła do Warszawy żałobna wieść o zgonie Elizy Orzeszkowej.

Dnia 17-go maja roku bieżącego przestało bić Jej wielkie serce. Piękna Jej dusza uleciała od ziemi.

Strata, jaką poniósł naród, jest dotkliwa i dojmująca. Społeczeństwu polskiemu ubyła przewodniczka mądra i miłująca, obywatelka na miarę niepowszednią, pisarka zasłużona i znacznego talentu.

Całe Jej życie było pracą, skierowaną ku odrodzeniu, pocrzepieniu i oświeceniu rodaków.

Urodzona w roku 1842 w Miłkowszczyźnie, pod Grodnem, z ojca Benedykta i matki Franciszki z Kamieńskich, panna Eliza Pawłowska, zaślubiona w roku 1858 Piotrowi Orzeszce, ziemianinowi z powiatu kobryńskiego, przyszła na świat w dobie beznadziejnej, młodocianemi jeszcze oczami patrzyła na powstanie 1863 roku, a działalność pisarską rozpoczęła na ruinach wiary i nadziei, w mroku, jaki zapanował po upadku powstania, wśród ucisku administracyjnego na Litwie i Rusi, wśród apaty, odrętwienia i rozpaczliwych współobywateli.

W takiej atmosferze trzeba było wielkiej siły ducha, aby wykrzesać z siebie „nadzieję przeciw nadziei”, rozpalic u znicza narodowego kaganiec i pójść z nim pomiędzy słabych, wątpiących i rozbitych.

Młoda, wydana wcześniej za mąż, prowadząca początkowo wesołe życie bez troski, wśród zbytku i rozrywek, pani Orzeszkowa nagle w 20-ym roku życia, spowaźniała. Zaczęła innemi oczami patrzeć na świat, szukać „siły niespożytej” w ludzie wiejskim, czytać książki, które wzbogacały Jej umysł i rozszerzały serce.

Jednocześnie wrodzona żywóść temperamentu parła ją do czynu, do zużytkowania bujnej energii, do krzewienia swoich przekonań demokratycznych w konserwatywno-ziemiańskim środowisku, z jakiego wyrosła. Idąc więc za głosem wewnętrznym, który ją wołał na szersze pole, poszła w służbę idei, a pióro stało się w Jej ręku bronią, z którą stanęła do walki o prawdę i sprawiedliwość, o *dzisiaj* i *jutro* narodu, o pomyślność i szczęście całej ludzkości.

Początki pracy literackiej autorki *Nad Niemnem* znane są powszechnie. Mówią o nich wszystkie podręczniki literatury, mówiły niedawno wszystkie artykuły jubileuszowe i wszystkie wspomnienia pozgonne, dumujące zasługi i zwycięstwa niezmożonej bojowniczk i apostołki miłości, braterstwa i zgody.

Ogarniająca szerokie horyzonty myśl jej, stała jednak przedewszystkiem na straży tego, co było bliskie, domowe, co leżało tuż za progiem dworu szlacheckiego.

Uderzyła Ją więc niedola ludu, uderzył stosunek włościan do szlachty, zadokumentowany zachowaniem się podczas niedawnego powstania.

Znając doskonale grzechy warstwy, do której sama należała, smagała ostro jej wady i przywary. Protestowała przeciw bezmyślności i biernemu poddawaniu się losowi, piętnowała brak uczucia, płochość, rozpustę, niezdrowe ambicje, próżne i błyskotliwe życie, wskazywała natomiast obowiązki obywatelskie, twardą służbę narodową na zagonie ziemi ojczystej, wydzieranym z pod stóp, i pracę na szerszej niwie społecznej, gdzie należało podać rękę upośledzonym i wydziedziczonym, aby ich oświecić i dźwignąć do poznania niedoli ogólnej.

Jako kobietę, zajmowała Ją żywo sprawa niewiast polskich. Będąc żarliwą zwolenniczką gruntownych reform w wychowaniu dziewcząt, rozumiejąc, iż nadszedł czas, kiedy żona musi stanąć obok męża, a siostra obok brata do wspólnej pracy i do wspólnej walki o urzeczywistnienie ideału, nawoływała gorąco do kształcenia kobiet, do podniesienia rodziny, do uszlachetnienia związku pomiędzy kobietą a mężczyzną, do większej samodzielności kobiet.

Jednocześnie czujną jej uwagę pochłaniała kwestya żydowska, którą starała się rozwiązać w imię szczytnych hasel braterstwa, posłuszna swemu sercu, nieznającemu innych uczuć, oprócz uczucia miłości.

Jej powieści: *Eli Makower* i *Meir Ezofowicz* wywarły znaczny wpływ na ukształtowanie się stosunku społeczeństwa polskiego do żydów w ósmym dziesięcioleciu wielu ubiegłego, a bodaj nawet, że potrafiły podtrzymać do ostatnich czasów bankrutującą ideę asymilacji.

Wślad zatem poszły utwory tej miary, co *Niziny*, *Dziurdziowie*, *Cham*, *Bene nati*, *Anastazyja* i wielka epopeja Litwy drobnoszlacheckiej — *Nad Niemnem*. Nazwisko Orzeszkowej nabrało rozgłosu. Czytywano Ją w całej Polsce, tłumaczono na języki obce.

Jednocześnie publicystyczne początkowo jej pióro nabierało zwolna cech na wskroś artystycznych, aby od *Pieśni przerwanej* wznieść się stopniowo do wyżyn dwugłosu *Ad Astra*, pisanego wspólnie z p. Romskim (Kazimierzem Zdziechowskim) i przedziwnie bolesnej, nawskroś pięknej książki *Gloria victis*, w której odbiły się jej własne wspomnienia z powstania i znalazło doskonały wyraz wielkie ukochanie ojczyzny, jej bólów, jej męki i niedoli.

Do bibliografii i do historii literatury należy wyszczególnienie wszystkich pism Orzeszkowej. Tu niepodobna nam ogarnąć jednym spojrzeniem ogromu pracy, dokonanej przez autorkę w jej samotni grodzieńskiej, na tej placówce kresowej, której strzegła pilnie i z całkowitem oddaniem się.

Kilkadziesiąt tomów powieści, odbitych w kilkuset tysiącach egzemplarzy, wywierało przez cały ciąg czterdziestolecia jej pracy, wpływ szeroki na społeczeństwo polskie.

Szły te książki wszędzie. Były pożądanym gościem w mieście i na wsi, w domach mieszczańskich i w izbach robotniczych, w dworach i w chatach.

Ile zdrowych ziarn rzuciły one w dusze ludzkie, ile obudziły uczuć szlachetnych, ile rozjaśniły umysłów — tego nie zliczyć.

Miarą tego może być tylko żal i smutek narodu po stracie tej niezastąpionej przewodniczki, która nie przestawała wołać o wolność i sprawiedliwość dla wszystkich, uczyła kochać i poświęcać się, pracować i wierzyć.

Cześć za to Jej pamięci! Hold Jej wielkiej Duszy.

I

Z szelestem grubego płótna rozchyliła się na dwie strony biała zasłona i odsłoniła ogromną, żelazną kratę, rozdzielającą prezbiterium kościelne od klasztornej chóru. Wtedy, organy rzuciły z wysoka wielką falę głębokich tonów, ołtarz zagorzał w olśniewającym świetle i u jego stopni wybuchnął potężny śpiew kleru, towarzyszącego wspaniałej celebrze biskupa.

Boże ku wspomnieniu memu wejrzyj,
Panie, ku ratunkowi memu pośpiesz się.

Z coraz głębszą i coraz przenikliwszemi tonami napojoną grą organów, we wzrastającym świetle, w migotliwych błyskach złocień, okrywających smukłe kolumny ołtarza, złotem i srebrem naszytych kap, infuły, pastorału i podnoszonych, to opuszczanych ksiąg w drogocennych oprawach; w tłumnych ruchach białych komży, barwnie haftowanych stuł, aksamitnych biretów, szkarłatnych peleryn, a dalej spiętrzonych i wzajem zasłaniających się, to odsłaniających odkrytych głów męzkich i wstęg, piór, woalów, szerokich skrzydeł kapeluszy na kobiecych głowach; — w pierwszych kłębach dymu i jałowcowej woni, wybuchających z rozkołysanych i w pozłożonem powietrzu rytmicznie pobrzękujących srebrnych kadzielnic; — z tej i tamtej strony kraty brzmiały ogromne, tryumfalne chóry:

— Chwała tobie, o Trójco, jedyne i równe bóstwo, teraz i przez nieskończone wieki wieków!

Od kilku szerokich wschodów, rozdzielających kratę od posadzki, kunsztownie z drogocennego drzewa ułożonej, aż ku najdalszej głębi bardzo wysokiej i długiej sali, gdzie w głębokiej niszy róże i lampy otaczały ze srebra ulany posąg świętej patronki klasztoru, zakonnice stały dwoma z rzadka rozproszonymi szeregami, więcej niż połową ciał wystające z nad ciemnych ławek, w czarnych sukniach, ostro przerżniętych złotymi liniami krzyży u piersi i śnieżną białością płócien, opasujących czoła i szyje. Na białe płótna zarzucone, czarne welony z głów ich spływały poniżej skórzanych pasów i zwisających u nich różańców, a spuszczone rąbkami ukrywały twarze, aż po rozmodlone i w śpiewie rozwarły usta.

U góry, prawie w zupełnym mroku, niewyraźnie majaczyły śpiczaste linie sklepień i zarysy wysmukłych okien, z zewnątrz ciemnością wieczoru okrytych. U dołu, z pośrodku sali wyrastał olbrzymi świecznik niby mistyczne drzewo, podnoszący wysoko symbol wiecznej i ani na chwilę nie mającej ustawać adoracji: — ani na chwilę od wieków nie gasnący płomień ogromnej świecy. U dołu także, przy samej ziemi, u samych stóp wyniesionych nieco nad poziom ławek, białe dwa rzędy lekkich woalów, przysłaniających setkę dziecinnych i dziewczęcych głów.

Od ciemnych poręczy wzdłuż ławek biegnących, ostro odrzynały się szeregi splecionych, białych rąk zakonnice, które teraz, z kolei, jedne po drugich rozplatały się i sięgały po zapaloną świecę, podawaną im przez równie białą, z czarnych zwojów habitu wylaniającą się rękę. W habitach, które od skózanego pasa długą i ciężką falą opadały za nimi na żółte kwadraty posadzki, dwie postacie smukłe, ciche, ze złotymi krzyżami na piersiach, z twarzami aż po zamknięte usta, zasłoniętymi rąbkami welonów, bez najlżejszego szelestu sunęły wzdłuż dwu szeregów ławek i z pęków świec na ramieniu niesionych, a woskową żółtością wśród czerni habitów płonących, jedną po drugiej zapalały i podawały wyciągającym się ku nim z nad ciemnej poręczy rękami. Teraz, dwa rzędy płomyków, wydłużające się coraz, podobnemi stawały się do strumieni światła, niecierpliwie dążących ku temu ich morzu, w którym nurzał się ołtarz. Lecz nagle, pochód jednego z nich ustaje, jedna z par rąk na poręczy ławek opartych nie rozplata się i po świecę jej podawaną nie sięga. Podająca czeka chwilę i cicho z pod rąbka welonu szepce:

— Siostrzo Mechtyldo!

— Będę cię wyznawał wszystkim sercem mojem!... — Po chwilowej ciszy wybuchają z dwu stron kraty dwa potężne chóry i organy z wysokości rzucają pełne, długie akordy.

Siostra Mechtylda nie śpiewa, głowę nisko ma pochyloną i silnie splecione ręce, a blade jej usta powoli poruszają się w szepcie.

— Panie, dlaczegoś mnie opuścił? Chryste, czy łask twoich godną być przestałam?

— Wielkie są sprawy Pańskie... — śpiewają dwa chóry głosów i wtórzają im drżące tryle organów.

Ramię z ciężką świecą, długo już wyciągnięte, drzeć zaczyna.

— Siostrzo Mechtyldo!

Ona nie słyszy, nie podnosi głowy i rąk nie rozplata, a pomimo nieruchomości postaci niezgłębiony smutek wieje z powolnego jej szepetu.

— Dusza moja zagasła i od ognia, w którym płonęła odsunięta, drży z zimna i trwogi.

Po szczyptach jej ramionach przebiega lekkie drżenie, głowa niżej jeszcze opada i końce cienkich, splecionych palców głęboko wpijają się w liliowe żyły, przebiegające białą i przezroczystą, jak płatek lilii, skórę rąk.

W pochodzie swoim powstrzymana i pochód światła, ku ognisku ich zatrzymująca, zakonnica dziwi się: „Co jej się stało? Co stało się tej najświętobliwszej, tej najhojniej laską Pana udarowanej siostrze zakonnej, tej najgorliwszej z Pańskich służebnic? I głosu swojego ze śpiewem siostr nie łączy i jednego z obrządków wielkiego dziś nabożeństwa spełnić nie śpieszy! Może doświadcza jednej z tych świętych wizji, któremi ją, ją jedną z pomiędzy siostr Pan niekiedy nawiedzać raczy? Może jej dusza wnet, wnet przez blade usta, krwawym płomykiem uleci i w tem ognisku światła, które za kratą ołtarz oblewa, utonie?” Pełna pokory wobec duchowej wyższości tej siostry, zakonnica z pękiem żółtych świec na ramieniu, a jedną zapaloną w ręku, chwilę jeszcze stoi i czeka, aż nieśmiałym ruchem habita jej dotyka i znowu szepce:

— Siostrze Mechtyldo!

Nakoniec usłyszała i, nie podnosząc głowy, ruchem istoty w śnie pogrążonej, rękę po świecę wyciągnęła. Z przenikliwymi tonami dzwonek, które teraz u stopni ołtarza rozbrzmiały i ze światłami oszklonych pochodni, które służy kościelne nad swoimi szkarłatnymi pelerynami wysoko w powietrzu chwieją, z drżącym głosem starca, który z pod ciężkiej i błyskami dyamentów migocącej infuły sam jeden śpiewa: *Beatus vir, qui timet Dominum*, łączy się niedosłyszalny, bezdennie smutny szept jej bladych, powoli poruszających się ust.

— Do łaskowości twojej przywykłam, zbawco mój, i gdy mi ją odjąłeś mdleję i konam!

Od dobywającego się z samego dna jej piersi westchnienia, podnosi się i chwilę nad jej ustami drży w powietrzu rąbek welonu. Od dość dawna, Pan duszę jej zamykać począł w twardej i suchej skorupie, w której jest ona jako łani zblakana od źródła, z którego się poiła. Zimnem stało się jej wnętrze, panuje w niem martwa senność i z kolei tęsknota tak wielka, że smutki jej czuje ona w szpiku swoich kości i w najdalszych głębiach udreżonego mózgu. Tęskni za życiem gorących uczuć i wysokich wzlotów, które tak długo było jej udziałem, za boskim Oblubieńcem, którego oblicza, wejrzenia, ran namiętnie umiłowanych, już oddawna, ach, jak oddawna nie widzi... bo chociaż oczami ciała na ich wyobrażenia patrzy, oczy jej ducha oślepy i leniwie do snu pokładły się tajemnicze jego natchnienia i siły...

Od małego ogniska świateł, które przed posągiem świętej patronki w głębokiej niszy płoną, aż do tego ich morza, którym ołtarz jest oblany, w całej długości u dwóch ścian chóru wyciągnęły się już dwa łańcuchy płomieni, do dwu strumyków ku morzu dążących podobne. Wszystkie u szczytów wielkich świec palą się prosto i równo, rzucając w górę cienkie nitki dymu, z którymi płyną w powietrze zmieszane wonie wosku i miodu; tylko z drżącej i pochylającej się w rękę siostry Mechtyldy świecy, grube żółte krople padają na poręcz ławki i usiewają rękaw jej habitu okruciami twardej skorupy. Ona usiłuje obudzić się, rozgrzać i jak ziarno kadzidła roztopić się w brzmiającej dokoła chwale Pana.

Odmęt tonów, dźwięków, szmerów. Śpiewy umilkły, ale organy nieprzerwanie snują przedę melodyi, która kłębami opada na dół i głębokimi, to na przemian rozplakanymi tonami bez przerwy i końca rozsnuwa się po świątyni. W ołtarzu jęczą co chwilę wstrząsane dzwonki, brzęczą łańcuchy kołysanych w powietrzu kadzielnic, rozlegają się ciężkie stuki na pulpity składanych ksiąg, wszędzie, jak krótkie szumy wichrów wzbijają się i opadają zbiorowe westchnienia i jak szemrzące strumienie, płyną zbiorowe, rozmodlone szepty. W tem niezmiernem zbiorowisku dźwięków, ucho siostry Mechtyldy rozróżnia jeden jeszcze, najmniejszy. Jestto ciche, małe, tuż w jej pobliżu, przy samej ziemi, drgające łkanie. Przez myśl jej przebiegają słowa: „ktoś płacze” i nikną, pozostawiając ją tak oschłą i zimną, jaką była przedtem. Nic, nic! Ani jednego wzlotu myśli, ani jednego rzutu uczuć ku niebu i Bogu! Pod rąbkiem welonu oczy zgasły i osłupiały są, tak jak i dusza.

Chóry z obu stron kraty po chwilowym milczeniu budzą się i wybuchają śpiewem:

— Chwalcie dzieci Pana, chwalcie imię pańskie...

Siostra Mechtylda śpiewa także, a gdy z piersi jej wychodzą uroczyste tony psalmu, ucho słyszy znowu ciche, niskie, wielkim odmětem dźwięków jakby do samej ziemi przytłoczone łkanie.

— Ktoś płacze!

Nieszpory zbliżają się ku końcowi; tłum nuży się i coraz bliżej przylega do dolnej części kraty, przez którą, od chwili do chwili, gorący jego oddech nakształt powiewu upalnego wiatru, wnika do klasztornej chóru, wzmagając i rozgrzewając w powietrzu napełniające je wonie jałowcu, miodu i wosku. Krata, u samego tylko dołu wydaje się czarną, powyżej bowiem stoi cała w złotym blasku, którym ją oblewa zwisający pośrodku presbiterium na srebrnych łańcuchach świecznik, olbrzymim snopem płomieni będący. W dole, za czarnym szlakiem żelaznych wiązań, z pełną dokładnością zarysów uwypuklają się niektóre postaci z tłumy. Jakieś kapelusze kobiece, błękitne i białe, nakształt wiosennych motyli, nad ciemną masą kołyszą się w świetle. Jakiś starzec przykłąkł u załomu ściany i w żarliwym nabożeństwie trzęsie twarzą, jakby ołtarzowi, ku któremu ją podnosi, opowiadał jakąś długą, żalną historię; bliżej jeszcze, kilka par rąk dziecinnych z całej siły czepia się żelaznych prętów i dwie małe, rumiane twarze, ciekawe spojrzenie

w głąb klasztornego chóru zapuszczają; a dalej wyosobnione nieco chwieją się nad białymi komżami aksamitne birety, zbliżając się, to oddalając po stopniach ołtarza do tego jego środkowego punktu, kędy pośród smukłych i złotem opływających kolumn, nisko u stóp wielkiego krzyża, a wysoko ponad wszystkim, wzbija się tęczowy ostrosłup infuły.

— *Jam sol recedit igneus...* — z pod infuły wypływa drżący głos starca.

— Odchodzi słońce ogniste, o Trójca błogosławiona... — słowa hymnu powtarza siostra Mechtylda, a ucho jej, u spodu modlitewnego szmeru, który napelnia chór, łowi mały, cichy, od ziemi ku niej podnoszący się szmer czyjegos łkania i przez myśl jej przebiega pytanie:

— Kto tam płacze?

Zbyt dawno ziemskie płacze, zarówno jak śmiechy są dla niej marnym pyłem, zbyt głęboko wpilo się w nią przeświadczenie, iż źródła jednych i drugich, jak zresztą wszystkiego co ziemskie, są mętne i wzgardy godne, aby mogła ona teraz spuścić spojrzenie i zobaczyć kto tam przy samej ziemi płacze. Jednak, pytanie to, bez jej wiedzy, w mózgu jej pozostaje i kędyś, w niezmiernie oddalonym zakątku jej istoty, budzi oddawna śpiącą stroną tkliwości ziemskiej.

Gdy więc głos dostojnika kościoła, z pod tęczowego ostrosłupa rozchodzi się samotny, a w drżącym i śpiewnym jego szmerze, któremu głęboka cisza towarzyszy, małe, ciche łkania u ziemi wyraźniejszymi się stają, w myśli siostry Mechtyldy słowa: kto tam płacze? powtarzają się ciągle, jak niepozbyty wtór tym, które szepcą usta. — Niech się wzniesie Panie modlitwa moja, jako kadzidło przed oblicze twoje!

Daremnie! daremnie z wyteżeniem wszystkiej swej woli usiłuje ona modlitwę rzucić jak kadzidło przed oblicze Pana, myśl jej jak ptak z ociężałymi skrzydłami opada ku ziemi z pytaniem: kto płacze?

Myśl, nie wzrok, ten bowiem, z za cienkiej zasłony utkwiony jest w jedyne źródło chwały i nadziei, w jedyne cel dla oczu nieba spragnionych, ziemią gardzących — w ołtarz.

Ale w tej chwili, przy więcej niż kiedy pełnym, rozgłośnym, tryumfalnym hymnie: *Wielbij duszo moja Pana!* rozlega się przeciągły szelest mnóstwa upadających na ziemię kolan, z tamtej strony kraty tłum jak opadająca fala zniża się i po ziemi rozściela, z tej zakonnice, jedna za drugą, z twarzami ku ołtarzowi zwróconymi w ławkach swych klękając, z nad ich poręczy znikają i widać tylko, wśród czarnych habitów błyskające płomyki ich zapalonych świec. Klękając i ukrywając się w ławkach, podnoszą one rąbki welonów, odsłaniają śnieżnymi płótnami opasane czoła. Siostra Mechtylda klęka także i kiedy górną część twarzy odsłania, tuż, tuż przy sobie, w bezpośredniej już swojej bliskości, słyszy znowu na dnie rozgłośnego hymnu szlochające, małe, do ziemi przytłoczone łkanie. Jedno tylko, szybkie, jak strzała wejrzenie rzuca w stronę i znowu z oczami wlepionymi w ołtarz powtarza słowa hymnu.

— Iż wejrzał na pokorę służebnicy swojej...

A przez myśl jej jak strzała szybko przebiegają słowa:

— Dziecko płacze!

Było to małe, ośmioletnie może stworzenie, które, klęcząc, do samej ziemi przychyliło twarz, w czerwonych rączkach ukrytą i osłoniętą zsuwającymi się z ramion skrzydłami muslinowego woalu. Pensyonarski mundurek ciemny i krótki, do połowy tylko zasłaniał jej nogi w białych pończoszках, u których końca drobne stopy, żółtą podeszwą obuwia świecące, od chwili do chwili uderzały o siebie w spazmie płaczu, który ramionami jej wstrząsał i którego grube krople przeciskały się przez drobne różowe palce. Płakała jak płaczą małe dzieci, deszczem łez, z drżeniem całego ciała, z ciągłym, obfitem szlochaniem. Nagle, uczuła, że czyjaś ręka dotknęła muslinu małego jej woalu i tuż przy swoim uchu usłyszała szept:

— Czego płaczec?

Podniosła z nad ziemi głowę, lecz była tak rozplakana, że czerwonymi piąstkami oczy przyciskając, wydętymi w skardze ustami wymówić tylko mogła:

— Za mamą...

Zaraz jednak, jakby przypomniawszy sobie krzywdę komuś wyrządzoną i nowy potok łez piąstkami, jak korkami tamując, dodała:

— I za tatką...

Nad samem jej uchem bardzo cichy szept zapytał jeszcze:

— Kiedy tu przybyłaś?

— Wczoraj.

— Jak ci na imię?

Teraz dziewczynka, wszystkie lzy zatamować już zdolawszy, ku pytającej twarz obróciła.

— Klarcia — szepnęła i oczami, w których zdziwienie i trwoga lzy osuszały, wpatrzyła się w zakonnice, która wśród ciemnych poręczy ławki, wysmukła i prosta, z zapaloną w rękę świecą klęcząc, przez chwilę wzrok w nią wpijała. Przez chwilę ascetka i dziecko twarzą w twarz na siebie patrzyły. Po delikatnych, chudością policzków i nosa zaostzonych, białą jak opłatek skórą powleczonej rysach siostry Mechtyldy, przebiegały szybkie drgania, oczy jej, pod białą opaską głęboko zapadłe, nagle jak dwa ogniska bólu i trwogi zapłonęły. Imię dziewczynki jak strzała w pierś jej wpadło. Tak niezmiernie dawno już go nie słyszała, a tak niezmiernie często wymawiała je niegdyś... w innym życiu, na innym świecie!... Z innego życia i świata, z jej własnej, jednak odległej, z duszy wyrwanej, na śmietnisko wzdarty przeszłości, przybywało to imię niegdyś tak drogie jej, a potem tak ohydne? Ale kiedy dziecko, twarzą ku niej zwrócone, wpiło w nią wzrok ciekawy i nieśmiały, siostra Mechtylda zeszywniała w niewysłowionej grozie. Te oczy, duże, ciemne, od złotych rzęs i włosów nabierające wielkiej słodyczy i głębi, znanymi są jej także. To dwa źródła, z których niegdyś, w innym życiu, biło dla niej zrazu szczęście bez granic, a potem niewymowna męka... Jej imię i jego oczy... czy w postaci tego dziecka zły duch... czy to nowa próba, którą zsyłasz na mnie, Zbawco mój?...

Pełna przestrachu, jak jaskółka w szponach jastrzębia, od stóp do głowy drżąca, siostra Mechtylda ku ołtarzowi twarz obraca. „Te ziemskie, obrzydłe, wzgardzone wspomnienia, sąż karą, przestrogą lub próbą, którą zesłałeś na mnie, Panie mój, wtedy właśnie gdy duch mój, oschły i roztargniony, leniwie i z udręczeniem skrzydła ku Tobie podnosił?”

Ale uwielbione imię Pana na ustach jej zamiera, z myśli ustępuje światło przytomności i z przestrachem, który miesza się z upajającą rozkoszą, czuje ona zbliżenie się jednego z tych zachwyconych widzeń, których już parę razy w zakonnym życiu swem dostąpiła. Ale wtedy widziała ona i słyszała to, co ją całą napełniało; teraz zaś, oczom jej ukazuje się obraz, który dziś jeszcze, przed kilku minutami, tak był od niej odległym jak od prehistoczonej do głębi istoty człowieka odległą jest jej własna, lecz falą czasu i własnych jej odmian odepchnięta przeszłość. Za ogromną, w złotych błyskach zdającą się drgać kratą, zamiast ołtarza, wysokich sklepień świątyni i nisko na ziemi rozesłanego tłumu, widzi ona pod błękitną kopułą nieba pole, ścielące się złotem kłosów, kwiecistymi miedzami przerżnięte, oświetlone płonącym pośrodku kopuły wielkim, złotem, słońcem... Na twarzy i ustach czuje przelatujący powiew upalnego wiatru i wraz z nim lecącą miodową woń kwiatów, a z oddali, z oddali, z oddawna zapomnianej i którą za umarłą miała, z głębi jej duszy, dobywa się głos dźwięczny, wołający: „Klarcu! Klarcu!” i tuż za jego dźwiękami, z pod słońca, w powietrze rozpromienione, spływa parę ciemnych, głębokich i słodkich oczu, które patrzają na nią... a ona od nich wzroku odwrócić nie może...

Krzykiem, który wydała z piersi, zgaszona świeca z ręki jej wypadła i czoło ze stukiem uderzyło o drewnianą podstawę ławki, lecz krzyku, ani stuknięcia nikt nie usłyszał. Przed ołtarzem, twarzą ku ludowi zwrócony, dostojnik kościoła w rękach, owiniętych złotem przetykaną krepą, trzyma rozbłysłą jak słońce monstrancję i powolnym wspinałym ruchem kreśli nią w powietrzu, nad rozesłanym przed nią ludem, wielkie znaki krzyża. Głos jego wzmaga się w brzmienie i siłę, coraz też głębiej, błagalniej wtórują mu organy, coraz gęstszymi powiewy wybuchają oddechy tłumu, a szepty jego, do szmerów morza podobne, coraz wyżej wzdymają się westchnieniami:

— *Salvum fac populum tuum Domine!*...

W ławkach, w których głowy zakonnice pochylają się ku samej ziemi, biegną żarliwe półgłosy.

— Zbaw lud twój Panie...

Jeszcze jeden wybuch ogromnego chóralnego śpiewu, jeszcze najpotężniejszy akord organów, jeszcze kilka słonecznych rozbłysków monstrancji, wielki, w powodzi światła krzyż zakreślającej, głuche stuknięcie zamykanego cyboryum, tłumne stąpanie kleru, postępującego za odchodzącym od ołtarza swoim zwierzchnikiem i — z szelestem grube-

go płótna zsuwająca się biała zasłona zakrywa ogromną, żelazną, w gasnących światłach pociemniałą kratę.

Zakonnice powstają z klęczek, gaszą świece i z głuchymi stukami składają je na poręczach ławek, wysoką i długą salę napętnia półmrok, w którym nikną u góry śpiczaste linie sklepienia, a u dołu mętnie na ciemnym tle drzewa rysują się dwa szeregi czarnych, złotem krzyży i białością płócien pobłyskujących postaci. Jaśniej i goręcej w zamian płonie teraz na tle zmroku pełna lamp i róż nisza ze świętym posągami, a w blasku od niej padającym, z doskonałą wyrazistością zarysów uwypukla się postać, w najdalszej głębi chóru, w odosobnionej i najwyższej wyniesionej ławce siedząca. Jest to przełożona klasztoru, której oczy zdala nawet jaśniej pogodnym i czystym szafirem, a twarz starzejąca się, lecz jeszcze czerstwym rumieńcem oblana, z wyrazem powagi, łączy przyrosły jakby do niej wół dobroduszny, wół mądry uśmiech. Trochę energii i wiele dobroci jest w tej pełnej, rumianej twarzy, prześlicznym szafirem źrenic oświeconej i która wylaniając się z bieli opasek, po długich modlitwach zda się powracać z nieba na ziemię, w pokoju i zgodzie z niebem i z ziemią. Ręce ma pobożnie splecione, ustami w cichej modlitwie porusza, ale wzrokiem, zdającym się pomimo jej woli uśmiechać i pieścić, ściga białe woalki dzieci, które gromadnie, z tententem drobnych stóp wśród ciszy i zmroku chór opuszczają. Potem, gdy za ostatnim już ich szeregiem zamykają się wysokie drzwi chóru, podniesionym głosem rozpoczyna modlitwę, którą półgłosem podejmują stojące w ławkach swych zakonnice. W jednym przecię z ich szeregów istnieje szczerba; siostra Mechtylda pozostaje niewidzialną, bo nieruchoma klęczy ciągle w głębi wysokiej ławki, z czołem do podstawy jej przyciśniętym.

Po mrocznym chórze rozchodzi się tłumnym szmerem wymówione: Amen i zapinuje chwilowa cisza. Wtedy siostra Mechtylda podnosi się, z podstawy zstępuje i, jak wysmukły cichy cień, ciągnąc za sobą długie zwoje habitu, szybko, a bez szelestu przesuwając się przez padającą od świętego posągu smugę światła i u kolan przełożonej, z pokornie schyloną twarzą i splecionymi na piersi rękami, klęka. Nie mówi jednak nic; zapytania, które ma być zarazem pozwoleniem mówienia, oczekuje. Przełożona nie daje długo na nie oczekiwać.

— Czego żądasz, siostrze w Chrystusie?

Wtedy ona głosem słabym, ale tak wyraźnym, że każde jej słowo przez ostatnie z dwu szeregów sióstr usłyszanem być może, mówi:

— Upokarzam się przed tobą, matko wielebna i przed całym zgromadzeniem moich sióstr w Chrystusie i wyznaję ciężki grzech, jakiego się dziś przeciw Panu mojemu dopuściłam. Oto, zamiast roztopić się razem z siostrami memi w rozważaniu i chwale Jego wielkości, dusza moja zajęta była ziemskimi myślami i wpatrywała się w ziemskie wspomnienia, które przed nią roztaczał duch złego. Dla tej to ciężkiej winy mojej, proszę cię matko wielebna, w imię Jezusa Chrystusa Pana naszego, o pozwolenie przepędzenia całej nocy dzisiejszej na pokutnych modlitwach w kaplicy Najświętszego Serca.

Przy ostatnich wyrazach głos jej drżał łzami i przejmującym cierpieniem.

Przełożona nie zaraz odpowiedziała, na pogodną twarz jej wybił się wyraz niezadowolenia i frasunku. Wielce dbała o duchową czystość i doskonałość sióstr, jej zwierchnictwu poddanych, dla zdrowia ciał ich nie była także obojętną, a zbyt częste ich umartwianie nie wiele zajmowało miejsca w prostym i łagodnym całokształcie głębokiej przecież jej wiary. Chudość i przezroczyta bledność siostry Mechtyldy oddawna już ją niepokoiły i wiedziała ona dobrze, czym dla kruchej naczyńki duszy musiała być noc spędzona bez snu i spoczynku, w roztkliwieniach skruchy i pokuty, na marmurowej posadzce najświętszej z klasztornych kaplic. Więc, po chwilowym milczeniu, pełnym powagi głosem, zaczęła:

— Ułomnym człowiekiem jest, ale miłosierdzie Pańskie bez granic. Rozważ, siostrze, czy nie popełniasz grzechu zwątpienia o miłosierdziu Pana?

Siostra Mechtylda nieruchomą pozostała, ale na zaostzonych jej rysach i w zaciśnięciu się rąk splecionych odmalował się upór żelazny. Tym samym, co wprzód, cichym, ale wyraźnym głosem odrzekła:

— Święta reguła nasza rozkazuje nam za grzech popełniony czynić bezzwłoczną pokutę.

Miała słuszność i przełożona wiedziała o tem dobrze. Wiedziała ona także, że jej energia gięła się zawsze i ustępować musiała przed bieglem znawstwem klasztornej reguły i nieugiętą w duchowych sprawach wolę tej siostry. Inna, zrozumiałwszy w radzie ukryty rozkaz, powstałaby od jej kolan w sumieniu swoim uspokojona; ta przypomniała jej, że zwierzchnictwo przełożonej i posłuszeństwo podwładnej mają granicę, którą jest święta reguła klasztorna. Po chwilowem więc milczeniu, końcami palców pochylonej przed nią głowy dotykając, wymówiła:

— Idź i czyn w Bogu pokutę swoją.

Siostra Mechtylda, z klęczek powstawszy, prosta i wysmukła, choć z głową schyloną, przeszła znowu przez smugę światła i w prowadzących ku wyjściu mrocznych głębiach chóru zniknęła.

W kwadrans potem trzy lampy w żelaznych oprawach, od wysokich sklepień sufitu na grubych łańcuchach zwisające, mętne półświatło rzuciły na wysokie ściany refektarza, na wąskie jej okna, posadzkę z kamiennych płyt ułożoną i cztery długie stoły, grubem płótnem okryte, a przez siedzące dokoła nich siedzące zakonnice otoczone. Spożywając wieczerzę, siostry powściągliwemi głosy ze sobą rozmawiały, tu i owdzie nawet, w półgwarze i półświecie zadzwonił mały, stłumiony śmieszek. Miejsce siostry Mechtyldy było próżne. W połowie wieczerzy, trudniąc się kuchennym dozorem matka Floryanna, sztywna, koścista i żwawa, w swym wysoko podniesionym dla gospodarskich potrzeb habicie, z dwoma cynowemi talerzami w ręku wstąpiwszy na wyniesienie, na którym wyosobniona i nad całem zgromadzeniem górująca siedziała przełożona, jadło na małym stole postawiła i zcicha rzekła:

— Zdaje mi się, matko Romualdo, że siostra Mechtylda zgrzeszyła dziś nieposłuszeństwem względem zwierzchności. Wszak wyraźnie do zrozumienia jej dawałaś, że odbywanie całonocnej pokuty dla błahych przyczyn, sprzeciwia się twojej woli.

Matka Romualda podniosła na mówiącą swoje pogodne, szafirowe oczy i w znak porozumienia uśmiechnęła się do siostry, z którą długi wspólny pobyt w klasztorze związał ją zażyłą przyjaźnią. Tym trochę żartobliwym uśmiechem matka Romualda zdawała się mówić: „Cóż poradzę z tą żarliwą i w znajomości reguły tak biegłą”. Ale wnet uczuła skrupuł sumienia. Jeżeli bowiem surowość siostry Mechtyldy dla samej siebie i wogóle wszystkiego, co cielesne i ziemskie, zdawała się jej przechodzić nieraz granice, przez wiarę i przez regułę zakreśloną, to jednak czuła ona w niej i czciła większy niż u innych żar i polot ducha, więc i teraz po żartobliwym uśmiechu i wzruszeniu ramion spoważniała.

— W pokorze ducha wyznajmy, matko Floryanno — rzekła — że z pomiędzy nas wszystkich siostra Mechtylda posiadała z łaski Pana najżarliwszą pobożność i najwyższą pogardę dla świata.

Z półgłosnym szmerem wspólnej modlitwy zgromadzenie refektarz opuściło, a wkrótce potem przenikliwy odgłos dzwonka, rozchodzący się po klasztornych korytarzach, salach, celach i przez grube mury wydostający się na dziedzińce i ogrody, ogłaszał *silentium*, to jest porę, od której wszystkie rozmowy na całą noc ustać były powinny, w której siostry kładły się do niedługiego, lecz spokojnego snu.

Potem na wieży kościelnej, na chórze w różnych częściach rozległych gmachów klasztornych, zegary godzinę po godzinie wybijały, o jednej z nich rozległy się słabe, ale gwarne dzwonki, zakonnice na jutrznię budzące, a po jutrzni, której chóralne śpiewy melancholijnymi tonami płynęły w ciemnościach długich korytarzy, zrzadka palącemi się lampami tu i owdzie rozproszonych, znowu zapanowały wszędzie sen i spoczynek. Ale w kaplicy, której ciemne ściany, w skąpem świetle płonącej przed ołtarzem lampy, mętnie i ze stron wszystkich błyskały okrywającemi je złoceniami, przed ołtarzem, na którego ciemnych kolumnach i ramach, wśród ponsowych aksamitów i atłasów, pobożne wota rozwiesiły mnóstwo różnej wielkości złotych i srebrnych serc, siostra Mechtylda leżała na marmurowej posadzce, z grubym powrozem dokoła szyi po kilkakroć owiniętym, z czołem o zimny marmur opartem i rozpiętymi w znak krzyża rękami. Powoli jedna za drugą wlokły się nocne godziny, gwałtowny wiatr marcowy z przeciągłemi szumami uderzał o ściany kaplicy i ostremi strugami wnikał do niej przez szczeliny wysokich okien, chłód podłogi przejmował leżącą, nieznośne kurcze zdejmowały rozciągnięte jej członki, ona jednak, w dręczącej postawie nieruchomą zostawała, w śmiertelnej trwodze i walce, błagając Pana, aby przykrócił zesłaną na nią próbę i oddalił od niej te dźwięki i te widzenia,

które z ust i twarzy rozplakanego dziecka wylonione, niestannie, nieprzeparcie otwierały na dzień jej duszy, oddawna tam zamknięte i obrzydzone groby ziemskich wspomnień...

II

Miała słuszość matka Romualda; w psychicznej istocie siostry Mechtyldy sprężyną, nad innemi panującą, była pogarda dla świata. Posiadła ona żarliwą wiarę w rzeczy niebieskie i wielką zdolność do idealnych uniesień, lecz górującem nad wszystkimi jej uczuciami uczuciem, pierwszym źródłem ich wszystkich, była pogarda dla świata. Powstała w niej ona i niezmiernego wzrostu dosięgła wskutek całego szeregu przyczyn, częścią z jej własnej natury, częścią z zewnętrznego świata pochodzących. Dzieciństwo i pierwsze lata młodości miała szczęśliwe; spędziła je w niezmaconej harmonii rodzinnej, we wszystko upiększającym dostatku, w świeżości i ciszy wiejskiej. Ten doskonale pogodny poranek życia, rozłogami szerokich pól od różnorodnych spotkań i doświadczeń odsunięty, głęboko wpoił w nią wiarę w dobroć ludzi, w radość bytu, w konieczność szczęścia. Ani w życiu jej i otoczeniu, ani w jej własnej naturze nie było nic, co mogłoby dać jej poznanie, obudzić choćby przecucie złego. Poprostu, nie myślała o niem wcale i choć niekiedy przesuwaly się przed nią słabe jego cienie, w świetle, które ją otaczało nie spostrzegła ich, lub prędko o nich zapominała. Miała lat prawie dwadzieścia, a była jeszcze cała błękitną, jak to niebo, które przywykła od krańca do krańca obejmować wzrokiem. Świeże, bez granic ufne uczucia i nadzieje kipiały w niej i śpiewały, jak srebrne wody w zdroju. Była prostą, świeżą, bez granic ufną i — nieświadomą.

Świadomość złego, które ostrym mieczem z oczu zdejmując zasłony i serca rozdziera, nie spełniła względem niej swojej niezbędnej czynności stopniowo i powoli, jak bywa najczęściej, ale okrutnie i nagle. Nagle zobaczyła ona rzeczy, przed którymi mrużą się z przerażeniem i boleścią najświadomsze nawet oczy. Była to wojna. Jednak, w ciemnościach nagle około niej i w niej powstałych, świeciła jeszcze jedna gwiazda. Przed strasznym momentem, który na dwie zupełnie różne połowy przeciął jej życie, kochała i była kochaną. Jak ścigana sarna, z obłąkanem od trwogi okiem, lecz niezgasłą jeszcze nadzieją ratunku pędziła ku swym znanym, domowym, bezpiecznym zaciszom leśnym, tak ona zwróciła się ku temu, którego obraz wśród bezdennych jej rozczarowań i przerażeń chronił w niej od ostatecznego zgonu wiarę w dobroć ludzi i nadzieję szczęścia. Pomimo wszystko, ta wiara i nadzieja żyły jeszcze na dzień jej serca, a w siłę wzmagały się przez to, że przed tym, którego kochała, przyszłość otwierała się pełna różnorodnych nędz i smutków. To właśnie pocieszało ją najwięcej. Cierpieć z nim i dla niego wydawało się jej powinnością i szczęściem. Na pustyni zwątpienia, wiarą i nadzieją świeciły jeszcze przed nią ciemne, duże oczy, które od jasnych rzęs i włosów nabierały wielkiej słodyczy i głębi, a niedawno jeszcze — choć zarazem i tak dawno! — rozkochanem wejrzeniem wtórzyły młodemu ustom, przyrzekającym jej wieczną miłość. Przyszła i obok tego, który jej wieczną miłość przyrzekał, znalazła inną, a tak jej zdawna bliską i drogą, że gdyby wśród nich dwojga wybierać jej kazano, serce jej długo pomiędzy miłością a przyjaźnią wahaćby się musiało. Lekkożylna, samolubna, czy namiętna, ta kobieta, która z nią dzieciństwo i młodość spędziła, bez wahania i skrupułu użyła jej nieobecności, a swoich zalotnych, przemyślnych powabów, aby serce jego jej odebrać i ją przy nim zastąpić. Na ten widok nie powstała w niej nawet myśl o walce, lub o dopominaniu się o swoje prawa pierwszeństwa. Usunęła się z pozorną obojętnością i przed wszystkimi w ciemni nocy ukrytym płaczem, w którym skonała cała jej przeszłość. Gdy przestała płakać, śmiała się z własnego szaleństwa, które tak długo ją oślepiało. Jakto! nie widywałaż i przedtem zawodów, krzywd, cierpień, śmierci? Owszem, teraz gdy zaczęła pilnie w pamięci grzebać, przypomniła sobie, że je widywała, lecz za rzadkie i nikłe cienie poczytywała to, co właśnie było jedyną stałą prawdą świata i życia. Do obrazu tej prawdy, który stanął przed nią, niczego już nie brakowało. Patrzała na ludzką niedolę, słabość i zmienność, widziała jak umierają ludzie, idee i uczucia. Złość i znikomość dwoma mieczami przecięły w niej do ostatka korzenie dawnego jej życia; na krwawych ranach jej serca zasiały się nuda próżni i trwoga — przed wszystkim. Zaród melancholii, który istnieje w każdej istocie ludzkiej, gorące uczucia i umysł do zastanawiania się zdolny posiadającej, w pogodzie jej lat minionych bezpłodny, teraz zakiełkował i szybko wybujał. Ani zabawa pocieszyć, ani praca zająć jej nie mogły.

Wśród zabawy ścigały ją wspomnienia widzianych i poniesionych cierpień, od pracy odrywała jej ręce wiedza o kruchości wszystkich zdobyczy. Czyliż wobec powszechności zła, wesołość nie jest największym złem, a wobec powszechnej znikomości praca najwyższym głupstwem? Jedna i druga należą do tych złudzeń, które człowiek sam przed sobą zasłania nędzę swoją i świata. Ona dość już miała złudzeń i rozczarowań, pięknych snów i okrutnych przebudzeń, nie chce już ani jednych, ani drugich, nie chce nic, nie ufa niczemu, nie spodziewa się niczego... jak atom po przestworzu, dusza jej w cielesnej swojej powłoce błądzi po wzgardzonym świecie, nudą próżni przejęta i ani przeznaczeń swoich, ani dróg i końca nie rozumiejąca. Dostatek materialny posiadała, więc powszednie troski nie przybiegły jej ze swoją surową, lecz niekiedy zbawienną pomocą, nie była zaś z tych, którzy bez celu dla uczuć i myśli spokojnie i błogo tuczyć się mogą bezpiecznym, obfitym chlebem. Popadła w nędzę moralną, tem sroższą, że ją poczytywała za jedną tylko kroplę z oceanu nędzy powszechnej.

Wtedy, kilka książek przeczytanych, parę wypadkowych, lecz przez nią skwapliwie wyzyskanych spotkań, o całej przyszłości jej zdecydowało. Za młodą była i za prostą, aby mogła wiary religijnej nie posiadać, ale dotychczas była w niej ona raczej wyuczonym na pamięć wyrazem, powziętem od dzieciństwa przyzyczajeniem, aniżeli organiczną częścią moralnej jej istoty. Teraz ujrzała w niej przedmiot czci i miłości, którego na ziemi jej zabrakło. Należała do tych, którzy, ażeby módz żyć, muszą wierzyć, kochać, mieć ideał i ku niemu dążyć. Brak ideału zabijał ją; odnalezienie go było dla niej już niepodziewaniem, więc niewysłowionem szczęściem. Nie była już samą, bo czuła wieczną, choć niewidzialną, obecność tego, który jest doskonałą wielkością, dobrocią i siłą; nie była zawiedziona, bo znowu wierzyła i ufała; przestała czuć zimno i nudę, bo kochała i widziała przed sobą wyraźną, widną drogę. Ta droga, przez najzupełniejsze możliwie uduchowienie życia, wieść ją miała jako do ostatniego kresu swojego, do przybytku zaziemskiej doskonałości i radości. Rzuciła się na nią z uniesieniem takim, z jakim tonący rozbitek wyskakuje na ląd, niespodzianie wylaniający się z powodzi i bardzo prędko, logicznym następstwem swoich okropnych wspomnień, nowych pragnień i nadziei i swojej namiętnej natury, zaszła nią do klasztoru.

Tu, w ciężkiej porze nowicyatu, doświadczała już takich zadowoleń i słodyczy, jakich nawet w najpogodniejszych i najweselszych latach przeszłości swej nie zaznała. Bywało to podówczas, gdy spełniała grube, mozolne, częstokroć wstrętne roboty, które zapełniać były powinny czas tej srogiej próby. Fizycznie należała do istot wątłych, wytworzonych do miękkiej pieszczoty i troskliwych starań. Na cienkim wysmukłym szkieletcie miała cieką i prawie przezroczystą skórę, drobne i giętkie kończyny, lekkość chodu i elastyczność ruchów. Kiedy w szarej sukni i białym welonie próbantki, ciężkimi miotłami wymiatała ogromne korytarze klasztoru, albo nad balią schyloną myła naczynia gliniane i żelazne, albo z kuchni i oficyń przenosiła ku ściekom ciężkie cebrzyki, pełne brudnych i cuchnących płynów, możnaby mniemać, że w delikatne jej członki wstępowała jakaś moc z zewnątrz i że przez nią tylko stawało się jej podobnym wykonywać to, co wykonywała. Czasem, mniemać było można, że złamie się ona pod brzemionami, które na plecach swych nosiła, lub ze znużenia i skwaru omdleje, wśród wielkich ognisk kuchennych, albo dławiących par i swędów pralni. Jednak, ona z tych prac tak ciężkich, że trudy skazańców cięższymi nad nie bywają, wychodziła zawsze ze spokojnym rozpromienieniem na twarzy i doskonałym zadowoleniem w duszy. Wnet też śpieszyła do nowych, niezmordowana i niczego więcej nie pragnąca, jak tego znoju i bólu, wśród których zapominała o przeszłości, a pracowała na przyszłość. Bo istotnie, te trudy, które ponosiła teraz, nie były tylko wschodami do wyższych stopni uduchowienia się i pozbywania wszystkiego, co jest troską o ciało i trwogą przed jego cierpieniem? Te wysokie rzuty uczuć i myśli ku niebu, których właśnie w strumieniach potu i bólach członków doświadczała, nie były obietnicą i świtanem tych najwyższych zachwyców, których dostąpi kiedyś, gdy sobie na nie u Pana zasłuży? Nakoniec, wiedziała o tem, że po jakimś czasie próby, zwierzchność zakonna, stosownie do objawionego przez nią stopnia powołania i przysposobienia, miejsca jej w swoim przybytku udzielić albo odmówić będzie miała prawo. Więc możliwem to było, aby znowu wyrzuconą została na świat! Myśl ta przejmowała ją taką ohydą i grozą, że niżli wpaść znowu we wzgardzony i preraźliwy odmet ludzi i ich życia, gotową była raczej w łzach i jękach skonać u stóp

ołtarzy klasztornych. Ta trwoga i niepewność zdwajały jej gorliwość i były najlepszymi z mistrzyń, uczącemi ją kruszenia w sobie ostatków własnej woli i wymiatania z myśli, pamięci i chęci, aż do ostatnich pyłów, przyniesionych z dawnego życia. Ale zakonnice nie miały chęci, ani prawa, oddalania tego, tak wyraźnie objawiającego się, powołania, od świętego dla nich celu i siostra Mechtylda w czasie przez regułę klasztorną oznaczonym wykonała swoją profesję, czyli złożyła śluby zakonne. Dnia tego, gdy po złożeniu w ręce biskupa przepisanych przysięg, w habit i welon już przyodziana, legła pośrodku klasztornego chóru, okryta całunem, trupiami głowami bielejącym i gromnicami obstawionym, gdy kościół i chór rozbrzmiały żałobną, tylko u ludzkich trumien śpiewaną pieśnią, całun podnosił się i falował od łkań dwu jej współtowarzyszek i w tem tylko miejscu, w którym ją przykrywał, nieruchomymi liniami zarysowywał wysmukłe i delikatne jej ciało. Tamte w tej stanowczej i posępnej chwili uczyły może dla samych siebie niespodziewany grom przerażenia, ostatni bunt ziemskich żalów, tę instynktowną grozę, która wszelką istotę żyjącą przejmuje w obec przypomnień śmierci i głośno, rozdzierająco płakały. Ona roztopiała się także, ale nie w żalu, ani w trwodze, tylko w niewysłowienie słodkiem rozważaniu dobroci Pana, który do łona swego na wieki ją przygarniał. Nigdy już więc na podobieństwo liścia przez wichry gnanego, błąkać się nie będzie po zohydzonym świecie, ani duszy swojej plamić jego pyłem, ani serca ranić jego mieczami.

Odtąd surowa reguła zakonna, której ciernie własny jej zapal pomnażał i zaostrzał, coraz silniej i szczelniej zamykała ją w swem ciasnem, lecz dla niej pełnem zajęć i radości kole. Raz tylko ujrzała była przed sobą groźbę zetknięcia się ze światem. Posiadając biegłość w rysunku i wykwinnych kobiecych robotach, otrzymała rozkaz udzielania nauki jednemu i drugim dorastającym wychowankom klasztoru. Gotowa do posłuszeństwa, ukłękła przecież w stóp przełożonej i pokornie, gorąco błagała, aby to umartwienie, najsroższe dla niej z pomiędzy wszystkich, to jedyne, które nieznośny wstręt w niej obudza, usunięte od niej być mogło. Poprzedniczka matki Romualdy zrozumiała ją i wysłuchała. Zamiast do świeckich dziewcząt, siostra Mechtylda przeznaczoną została do nauczania rysunku i robot w klasztornym nowicyacie, gdzie celem pracy było przyozdabianie świątyni pańskiej, gdy tam, udzielone przez nią umiejętności, na świat wyniesione, posłużyłyby tylko do pomnożenia jego marnych złudzeń i występnych ohyd. Dla niej więc nie istniały rozlegające się w znacznej części klasztornych gmachów gwary i śmiechy dziecięcej gromady, ani wychylające się z korytarzy lub po ogrodach rozsypane chóry dziecinnych i młodziutkich głów. Nie słyszała ich i nie widziała. W absolutnem oddaleniu od wszystkiego, co nie było dążeniem ku Bogu, nic i nikogo oprócz celi, chóru, ołtarzy i swoich siostr w Chrystusie nie widując, z ciałem w przeróżne sposoby dręczonem, przedstawiała ona, sama o tem nie wiedząc, jedną z najdziwniejszych zagadek bytu ludzkiego: możliwość istnienia szczęścia na dnie tej najposępniejszej z melancholii, jaką jest: z pogardy dla ziemi powstały ascetyzm. Była zropaną przez ziemię i pocieszaną przez niebo melancholiczką. Była zbliżającą się do doskonałego unicestwienia w sobie wszystkiego, co nie było dążeniem ku niebu — ascetką.

III

Miała już za sobą trzydzieści kilka lat życia i przeszło dwanaście spędzonych w klasztorze, gdy zachodzić w niej poczęły niespodziewane zmiany. Uczuła nagle wyczerpanie sił, nie fizycznych, ale tych wewnętrznych, o które jedynie dbała i których nieustanna, wytężona praca była dotychczas źródłem jej szczęścia. Z wiary jej i miłości nie ubył najmniejszy atom, ale przestały ją one odżywiać. Modliła się z chłodem w duszy, wśród rozmyślań doświadczała przerw, w których bezmyślną skamieniałością ogarnięta, przestawała czuć, że żyje. Z nieznaną przedtem trudnością rozstając się ze snem, leniwie szła na poranne jutrznie; w wielkie msze południowe machinalnie wtórzyła ustami słowom kapłana, daremnie walcząc z nieprzewyciężoną siłą, która wzrok jej przykuwała do zawieszzonego za wysokiem oknem kawałka białego obłoku, lub do wlewającej się przez nie strugi światła słonecznych. Usiłowała spuszczać oczy ku ziemi, albo zwracać ku ołtarzowi, ale zupełnie nie wiedziała, jak i kiedy znowu wznosiła je ku górze i wlepiła w obłok lub w światło słońca. Były dni, kiedy w samotnej swojej celi albo w kaplicach, podobnych do wylotonych grobów; płakała potokami łez i przyczyny ich, najsurowiej badając siebie, dojść nie

mogła, tylko na sercu czuła nieznośny ciężar, z pod którego ono wydobyć się i ku Bogu wlec nie mogło. Co jednak w tych zmianach, którym duch jej to słabiej to silniej ulegał, dręczyło ją najwięcej, to, że utraciła tak jasne przedtem uczucie nadprzyrodzoneości, a stało się to właśnie wtedy, gdy żarliwość jej nabożeństwa przechodzić się zdawała granice siły ludzkiej i zdumiewała te nawet z zakonnic, które najbardziej oddawały się pobożnym ćwiczeniom, zarówno jak te, które same do nich najleniwsze, widziały w nich jednak wyższy stopień doskonałości zakonnej. Nagle osłabła, ostygła, usnęła i samej sobie wydawała się lampą zagasłą, trupem mechanicznie poruszonym jakąś obcą, przemieszkującą w nim siłą.

Z punktu widzenia przyrodzonego, stan, w który siostra Mechtylda popadła, był prostym wynikiem długich i jednostronnych wysileń, znużeniem umysłu i potrzebą dla niego nowej stawy. Dla tego stanu, jak i dla tych, które go poprzedziły nauka posiada nazwy i wytłumaczenia. Siostra Mechtylda nazywała go próbą, którą Pan dla doświadczenia jej zesłał na nią i którą Pan dla doświadczenia jej zesłał na nią i którą tylko wola Jego skrócić mogła. Jak Chrystus w Ogrójcu, błagała, ażeby kielich ten oddalonym od niej mógł zostać, lecz dopóki brzezi jego ręka Zbawcy przy ustach jej trzymała, piła z niego pokornie i cierpliwie.

Pokorna, cierpliwa, ale stanem duszy swojej zasmucona i strwożona, po przeczytaniu w swojej celi żywota patrona dnia, siostra Mechtylda szła ku tej części gmachów klasztornych, w której mieścił się nowicyat, na codzienne parogodzinne lekcje haftów i malowania, przez nią próbantkom i nowicyuszkom udzielane. Swoim szybkim, cichym chodem, z rękami na piersiach u złotego krzyża splecionymi, zstąpiła z wysokich, pomiędzy dwoma grubymi murami ku jednemu z korytarzy spływających, wschodów. Była to pora, w której jedne z zakonnic oddawały się zajęciom swoim na pensyi, w nowicyacie, w gospodarskich oficynach, w ogrodach, inne po celach swoich czytały żywot patrona dnia i nad nim rozmyślały. Na klasztornych korytarzach panowała ta głęboka cisza, którą posiadać mogą tylko rozległe pola i grubymi murami obwiedzione miejsca. Szerokie albo wąskie, u góry śpiczastymi sklepieniami wysoko zakończone, z białymi ścianami, wśród których tu i owdzie czerniały stare obrazy lub wysokie drzwi do sal zgromadzeń i przyjęć wiodące, tu i owdzie śmiejące się oszklonemi, wystrojonemi, wyłożonemi kapliczkami, w których stały ołtarzyki w śnieżne koronki owinięte, albo ze srebra ulane posągi, korytarze klasztorne, liczne, w różne kierunki wydłużające się i załamujące, do sieci mistycznych dróg podobne, stały całe w głębokiej ciszy.

Jesienią i zimą, od białych lub szarych płacht nieba, rozwieszonych za oknami, w pojętęnie grube mury oprawionemi, padały tu wieczne półmroki, pod wysokimi sklepieniami zamieniające się prawie w ciemność. Ale teraz, przez drobne szyby w gotyckie łuki żelaznych krat ujęte, wpływało światło wiosennego słońca, szerokie, złote pasy kładło na podłogi, mnóstwem wąskich, ruchliwych promieni wspinało się po ścianach, i w złotej powodzi topiło kapliczkę, szklanemi ścianami zaokrąglającą się pośród korytarza, na który weszła siostra Mechtylda. Weszła, postąpiła kilka kroków i uderzona niebywałym tu nigdy widokiem, stanęła. W kapliczce, przed ołtarzykiem w śnieżne koronki owiniętym i otoczonym kwiatami, klęczało dziecko. Była to siedmioletnia dziewczynka, mała i wątła, od której ciemnej sukienki odbijała śnieżnie białość pończoszek, fartuszka i krezy, obejmującej szyję. Jasne w dwie cienkie koski splecione włosy, mnóstwem złotych nitok, niby promyków, wznosiły się nad jej czaszką i opadały na małą, różową twarz, ku obrazowi świętego wzniesioną. Oczy także wznosiła w górę, małe, różowe ręce u samej prawie białej krezy splotła i w żarliwej modlitwie, prędko, prędko wstrząsała głową i drobnymi ustami poruszała.

Siostra Mechtylda była zdziwiona. Wstęp na ten korytarz, jak i na wiele innych, surowo wzbroniony był pensyonarkom. Skąd się ta wzięła tutaj? Gdyby choć drobny początek skrzydeł u ramion, można by mniemać, że była aniołem, który przed ołtarzyk w koronki i kwiaty ustrojony, spłynął na smudze słonecznej, ukośnie przerzynającej wewnątrz kapliczki i w której zawrotnie igrały miliardy pyłków. Siostra Mechtylda zrazu jakby do ucieczki przyspieszyła kroku, lecz potem, cicho, zwolna, zbliżyła się i wśród szklanych ścian kapliczki, za modłaczem się dzieckiem stanęła. Dziewczynka więcej uczuła niż spostrzegła czyjąś bliską obecność, obejrzała się i z przestachem porwała się z klęczek. Wiedziała,

że jej tu znajdować się nie wolno. Ale zakonnica, końce białych palców na ramieniu jej kładąc, zapytała:

— O co tak gorąco Św. Jana prosiłaś?

Ze spuszczonej powiekami, róg białego fartuszka w palcach kręcąc, dziecko, po chwilowym wahaniu się, szeptem zaczęło:

— Te słówka niemieckie, proszę pani, takie trudne, że żadnym sposobem nauczyć się ich nie mogę... Wczoraj panna Joachima gniewała się na mnie, że ich nie umiałam... Dziś zrana uczyłam się, uczyłam się... i nic... co nauczę się, to zapomnę...

— O cóż więc Św. Jana prosiłaś?

— Żeby mi pomógł nauczyć się niemieckich słówek.

Usta siostry Mechtyldy miały wyraz surowego zamyślenia, ale we wzroku jej, ku małej głowie spuszczonej powstawał uśmiech.

— Jakim sposobem przysłałaś tu? — zapytała.

Dziecko po raz pierwszy oczy ku niej podniosło.

— Starsze panny mówiły, że na klasztornych korytarzach jest taka ładna, ładna kapliczna Ś-go Jana. Posłałam jej szukać... Nie wiedziałam gdzie... ale szłam... szłam... takie ładne korytarze... Przed Najświętszą Panną, co tak taka śliczna stoi i z rączek promienie sypie, troszkę pomodliłam się i znów posłałam Ś-go Jana szukać... aż i znalazłam!

Bohaterski czyn swój opowiadając, ożywiła się, drobnym palcem wskazywała stronę, z której przysłała i w której modliła się przed Najświętszą Panną, z rączek sypiącą promienie. Z oczu siostry Mechtyldy uśmiech spłynął i na jej usta.

— Dla czegoż tak gorliwie szukałaś właśnie kapliczki Ś-go Jana? — zapytała.

— Bo to patron tatki...

Ciężej na ramieniu dziecka oparły się palce zakonnicy. Jakby potwierdzając to, czego domyślała się już i wprzód, przeciągle szepnęła:

— Tak!

Spojrzeniem, które stało się dziwnie miękkim, we wniesionych ku niej oczach dziecka utonęła. Głos jej drżał trochę, gdy po chwili zapytała jeszcze.

— A matce twojej, jak na imię?

— Klara...

— Tak! — powtórzyła siostra Mechtylda, dłoń jej od ramienia dziewczynki podniosła ku jej włosom, po których przesunęła się z pieszczotą, ale raz tylko... Nagle, jakby sztyletem jakiegoś przypomnienia pchnięta, zakonnica wyprostowała się i popędliwym ruchem dziecko od siebie usunęła. Z roztkliwionych przed chwilą jej oczu posypały się iskry gniewu i z gniewem prawie krzyknęła:

— Czego tu przysłałaś? Pannom z pensji przychodzić tu nie wolno! Idź! idź! i pamiętaj, abyś nie przychodziła tu już nigdy, nigdy, nigdy!

Odwróciła się i wzdłuż korytarza pomknęła krokiem tak gwałtownym i nierównym, że z za załomu drugiego wychylająca się zakonnica, widokiem tej siostry, w ten sposób biegnącej zdziwioną została. Ona sama bowiem, mistrzyni pensji, chodziła zawsze prędko, z podniesioną twarzą i z takim rozmachem, że brzegi welonu, jak skrzydła rozwiewały się u jej ramion. Długoletnie zarządzanie i kierowanie pensją, wyrazem śmiałości i energii okryło całą postać tej zakonnicy niemłodej, silnej, o nieładnych, grubych, lecz bardzo ożywionych rysach. Dla potrzeb pensji czytywała ona wiele książek i prowadziła wiele rozmów, z religią związku nie mających; przywykła rządzić, rozkazywać, głos podnosić, kroku przyśpieszać, z odkrytą twarzą patrzeć na mnóstwo ludzi płci obojej. Teraz także śpiesznie i z frasunkiem na twarzy dokądś biegła, piętami głośno o podłogę uderzając i z rozwiewającym się u twarzy i ramion welonem. Tak jej było pilno i tak czemś myśl miała zajęta, że gdy siostra Mechtylda przy rozmijaniu się z nią, z nisko pochyloną głową wymówiła zwykłe pozdrowienie: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!” — odpowiedziała tylko: „na wieki!” i, resztę wyrazów polykając, dalej biedz miała. Ale, siostra Mechtylda drogę jej zastąpiła.

— Matko Norberto!

— A co? co, siostrze? Do matki wielebnej leć! Taki mam straszny kłopot... dwóch nauczycieli tracimy... aż dwóch od razu... i to w starszych klasach, gdzie siostry zastąpić

ich nie potrafią... Jeden zachorował, drugi wyjeżdża... co tu robić? Do matki wielebnej radzić się lecę, jakim sposobem jaknajprędzej wynaleźć innych...

— Matko Norberto!

— Bo to widzi siostra, lekcye przerywać się nie mogą... nie ma gadania, to na sumieniu naszym leży... Siostry dobre dla małych, ale tam, gdzie główki już rozgarnięte, porządnej nauki trzeba... A tu nagle aż dwóch... no, skąd my ich teraz weźmiemy? Kłopot! Ale co siostrze? Tak prędko szłaś, jakbyś pensję na swojej głowie miała i takie kolory na twarz ci wybiły? Czy nie chora siostra, broń Boże?

Z ogniami na policzkach i z byszczącymi oczami, głośniejsz niż mówiła zwykle, siostra Mechtylda odpowiedziała:

— Zdrowie i choroba nasza są w ręku Pana, ale o czystość duszy troszczyć się on nam rozkazał i ją to właśnie na niebezpieczeństwo narażają nieporządki na pensyi panujące.

— Nieporządku! na pensyi! a toż co? jakie? — z przerażeniem prawie zawołała matka Norberta.

— Panny z pensyi dostają się na wzbronione im korytarze klasztorne... Tylko co jedną z nich w kapliczce Ś-go Jana widziałam...

Matka Norberta z przestachu ochłonęła. Znać oskarżenie, przez siostrę zanesione, nie wydało się jej zbyt ważnem. Jednak, zwyczajnym sobie ruchem poprawiając wiecznie podnoszącą się do jej połowy czoła białą opaskę, z rozmysłem zaczęła:

— Tak, tak, to niedobrze! co zabronione, to zabronione! Nie ma gadania!... Posłuszeństwo na pensyi, rzecz konieczna! I którąż to siostra tam widziała, jaką, dorastającą, małą?

— Malutką — odparła siostra Mechtylda i w głosie jej coś drgnęło.

— Ach te malutkie! — westchnęła matka Norberta — najtrudniej z niemi... takie to słabe, nierozumne... ani ich karać, ani znowu na wszystko pozwalając... A nie wie siostra wypadkiem, jak się nazywa ta?...

— Powiedziała mi swoje imię: Klarcia...

Po grubych wargach siostry Norberty przebiegł żartobliwy uśmiech.

— Ach, ta! z całej pensyi najmniejsza! Nie ma jeszcze miesiąca, odkąd matka ją tu przywiozła, bo biedne dziecko chorowało i podobno hodować się nie mogło w tym klimacie, w którym mieszkają jej rodzice... Tęskni bardzo za rodzicami i takie to wątłe...

Zdawało się, że mówiąc to, matka Norberta u surowej siostry dla malutkiej wychowanki swojej o przebaczenie prosiła. Ale siostra Mechtylda wyprostowała się; niezłomny upór wybił się znowu na delikatne i ostre jej rysy.

— Matko Norberto, święta reguła nasza rozkazuje zakonnicom, które od zajęć około pensyi są wolne, usuwać się od wszystkiego, co obraży świata przed nimi stawiać może. Panny z pensyi błakające się po klasztornych korytarzach przypominają świat... i budzą grzeszne wzruszenia...

Mowę tej matki Norberta wysłuchała z nogi na nogę przestępując i żółtą, kościstą ręką po wiele razy poprawiając opaskę na czole. Potem z lekkim wzruszeniem ramion, odparła:

— No dobrze, dobrze, siostrze, napomnę ją... nie ma gadania, za nieposłuszeństwo napomnę...

— Trzeba ją skarcić! — zawołała siostra Mechtylda i namiętna zaciętość błysnęła z oczu jej i zasyczała w głosie.

IV

Tego wieczoru, gdy zakonnice po ostatnich w chórze modlitwach rozpierzchnęły się ku swoim celom, matka Norberta, mijając siostrę Mechtyldę i kroku trochę zwalniając, przemówiła.

— Stało się, jak żądałaś, siostrze, malutka w obecności całej klasy w kącie za karę stała. Za nieposłuszeństwo ją ukarałam i nie ma gadania! Dziecko płakało.

Mocno swoim pękiem kluczy zadzwoniła i głośno piętami o podłogę uderzając, dalej pobiegła. W ręku siostry Mechtyldy płomyk zapalki drżał długo, nim zetknął się z knotem małej lampy, która słabym światłem celę jej oświeciła. Malutka to była celka, ale schludna i nie bez wdzięku. Ściany wysokie, śnieżnie białe, wysoko nad niemi zaokrąglające się

sklepienie sufitu, posadzka jak w całym prawie klasztorze kunsztowna i błyszcząca. Na białym tle ścian, krzyż czarny, z białą postacią Chrystusa, kropielnica z wodą święconą, drzwi ciężkie, ciemne i okno z żelazną kratą, wyraźnie widzialną na tle zasłaniającej je z zewnątrz ciemności wieczoru.

U dołu, wąskie, białe zasłane łóżko, z twardym wezglowiem, stolik z lampką i nabożnymi księgami, dwa stolki, gliniany dzbanek z wodą — nic więcej. Ale ona czuła tu jeszcze urok rzeczy niewidzialnej, lecz niewymownie miłej, którą była — samotność. O tej porze zwłaszcza, po całodziennym, koniecznym zetknięciu się ze światem zewnętrznym, choćby nim były tylko siostry w zakonie i najzwyklejsze widoki klasztoru, gdy wchodziła do swojej celi, czuwała się w zupełności sam na sam z duszą swoją i z Bogiem. Dla niej, oprócz czystości jej duszy na ziemi i Boga w niebie, nie istniało nic, więc najrozkoszniejszą jej była ta chwila, w której z jedynymi przedmiotami swojej miłości i troski nie czuła się już rozdzieloną żadnym szmerem i widokiem, w której posiadała doskonałą pewność, że nikt i nic, choćby szelest sunącego po ziemi habitu lub z okna do stóp jej spadający promień słońca, nie zmąci cichych, nieskończonych jej rozmów z jej własną duszą i Bogiem. Zamykając drzwi jej celi zakonna reguła, lepiej strzegła jej doskonałej samotności, niżby to gdzieindziej czynić mogły najmocniejsze wrzeczadze i zamki. To jej sprawiało rozkosz doskonałego bezpieczeństwa, wśród której długie godziny na wąskim i twardym łóżku przesiadując, myślą zstępowała w swoje wewnętrzne, najskrytsze głębie. Były to nieskończone rachunki sumienia, w których każdą chwilę, myśl, wzruszenie dnia ubiegłego, rozбивała na najdrobniejsze atomy, ważąc je, zgłębiając, źródła ich dochodząc, poszukując pomiędzy nimi takich, któreby tworzyły przyczynę i powinność pokuty i poprawy. W tem tak skrupulatnem rozglądaniu tak jednostajnego przeciw życia, była surowość niezmierna i szczerłość bez granic. Najlżejszego pyłku tego, co w jej oczach było grzechem nie przebaczała sobie, ani przed sobą i Bogiem osłaniać nie usiłowała. Jedno słowo, bez wymówienia którego obejść się mogła, jeden kąsek chleba, już bez uczucia głodu przelknięty, jeden przelotny uśmiech lub jedna sekunda lenistwa, były to dla niej plamy, które coby prędzej z duszy swej ścierała pokorą, skruchą, prośbą o przebaczenie, czasem kolącą szatą z włosianej tkaniny, na resztę nocy przywdziewaną. Bywały jednak dni, w których najmniejszego z owych pyłków grzechu, pomimo najgorliwszego poszukiwania, w sobie nie znalazłszy, doświadczała takiego szczęścia, jakiego zwykle doświadcza człowiek, gdy za rąbek szaty pochwytuje swój wysoki, z uporem wielkich miłości ścigany ideał. Czuła się wtedy lekką i białą jak płatek śniegu, bliską Bogu, pełną nadziei. Gasząc lampkę, wymawiała ciche, głęboko odczuwane słowa wdzięczności i na twardem posłaniu wyciągając ciało, od kłęczącej albo leżącej na zimnych posadzkach postawy zbolale i zziębłe, zamykała do snu oczy z takim uśmiechem, z jakim to czyni dziecko na łonie łagodnej matki. Pokryta morzem cienia i ciszy, usypiała w bezbrzeżnym spokoju dalekości świata, zgody z Bogiem, słodyczy jutra, pewności zbawienia.

Tak było przez lat dwanaście. Dziś przeciw cisza i samotność celi nie wywarły na nią zwykłego wrażenia. Wnet po zapaleniu lampki, rozpoczęła według zakonnego swego zwyczaju rachunek sumienia, ale że było ono obarczone ważnym grzechem, poznawała to po wielkim bolącym ciężarze, który pierś jej uciskał i był podobny do połączonych z sobą uczuć trwogi i żalu. I uczucia te i grzech swój, wraz z ich źródłem, ona musiała określić przed sobą jasno i szczerze, aby nie popełnić zbrodni w jej oczach największej — obłudy względem Boga. Kłamać, ukrywać, osłaniać choćby cokolwiek przed Bogiem, więc oszukiwać Tego, który dał jej wiarę i nadzieję, wówczas, gdy wszystkie wiary i nadzieje była postradała, który ją utulił w słodycz i wiekuistość nieba, wówczas, gdy drżała i szalała z bólu nad goryczą i znikomością ziemi, byłoby czynem niskim, którego nawet zaczątek powstać w niej nie mógł. Więc twarzą w twarz z najgłębszą swoją myślą, powiedziała sobie, że to dziecię, dziś w oszklonej kapliczce przed świętym obrazem ujrane, wywarło na nią pociąg zupełnie ziemski i niemożony. Nie; przed sobą, ani przed Bogiem ukrywać, ani osłaniać nie chciała, że wiedziała dobrze, kim jest to dziecię, jakimi oczami na nią spojrzeć, jakie podobieństwa i przypomnienia widok jego ku niej przywoła, i dlatego właśnie, że to wiedziała, zbliżała się ku niemu coraz prędzej i nieprzezwyrodniej, tak jak wszelkie ciało zbliża się do swojego magnesu, człowiek do cienia swojego straconego szczęścia. Kiedy dłoń na ramieniu tego dziecka położyła, na sekundę, na mgnienie oka uczuła, że małe to stworzenie bardzo kocha i namiętnie zapragnęła ogarnąć je ramionami,

do piersi przycisnąć, pocałunkami okryć, tak jakby ono było drogim cieniem jej straconego szczęścia. Więc choćby przez błyskawicę czasu kochać mogła coś, co nie było Bogiem i niebem, co było marnym zlepkiem gliny, brudną grudą ziemskiego błota, zjawiskiem, które wobec wieczności ma trwanie oddechu, a wobec prawa śmierci, jest trupim szkieletem, przyobleczonym w prędkiej czy później opaść zeń mające lachmany ciała i pozory życia! Ale niestety, całą tę nędzę bardzo kochała przez chwilę dlatego, że była ona czarodziejskim zwierciadłem, które nagle z nadzwyczajną wyrazistością i siłą ukazało w sobie odbicie jej dalekiej, wzgardzonej, znieawidzonej przeszłości. Więc, oddalone powracać mogło, na dnie duszy śpiące — budzić się z głośnym krzykiem, z pamięci wyrzucone — być niezapomnianem! Więc po tak długich latach czuć ona mogła jeszcze za ziemskimi uczuciami żal gryzący i wielką, ciężką boleść wspomnień!... Uczuła się przerażoną, lecz uczucia tego zatrzymać w sobie nie mogła, choć usiłowała, bo utraciła całkiem świadomość miejsca, chwili i samej siebie, spadła na nią nawałnica wspomnień i całą jej istotę: myśl, pamięć, uczucie, uniosła w przeszłość. Możliwyby rzec, że za olbrzymie walki, wśród których na długo zwyciężoną została, przeszłość w tej chwili mściła się nad nią, z taką siłą w nią derżyła. Poddawała się jej, bo oprzeć się nie mogła. Nie wiedziała o tem, że należy do tych głębokich natur, których rany nigdy nie goją się zupełnie i wspomnienia nie umierają. Na zakonnym łóżku swem siedząc, z ciałem nieruchomem, nie czyniła rachunku sumienia. Nie widziała ani ścian celi, ani krzyża, ani kraty... Była w swoim rodzinnem, cichem, ciepłym gnieździe, na szerokich polach, zasłanych iskrzącym się śniegiem lub falującym zielonem i złotem zbożem, na łąkach kwiecistych, w ogrodach cienistych, nad brzegami błękitnej rzeki, pod wielką kopułą nieba, w blaskach słońca, w promieniach księżycy. Wszystkie te miejsca i widoki pamięcią i wyobraźnią odwiedzała z kolei, spotykając wśród nich wszędzie, na każdej ścieżce i w każdym oświetleniu, tłum żyjących istot miłych lub drogich, tak zapamiętanych, jakby rozstała się z nimi wczoraj. Widziała zwierzęta i ptaki, słyszała głosy pierwszych i drugich. Ze szczególną wyrazistością przypominała sobie rój strzałek, na przezroczystych skrzydłach latający nad wodą i w wodzie rosnące lilie, nad którymi żywo zwiły się jaskółki. Widziała także ludzi, ich kształty, rysy, ruchy, słyszała ich głosy, śmiechy, ulubione słowa, zwyczajne zwroty mowy. Siła jej wspomnień długim snem, do którego je zmusiła, spotężniona, z przepaści przestrzeni i czasu wywołała duchy dawno pomarłych pocałunków, które musnęły jej czoło, usta, policzki i mnóstwem drgnieć, z których każde niosło z sobą echo dawno zamarłych rozkoszy, rozbiegło się po jej ciele. Nadewszystko wyraźnie jednak i najdłużej widziała miejsce i chwile, które swoim złotem wszystko gasiły, to samo miejsce i tę samą chwilę, których obraz stanął był przed nią za kratą rozdzielającą presbiterium kościelne od chóru klasztornego, wtedy, gdy po raz pierwszy mała dziewczynka podniosła na nią swoje zapłakane oczy i wymówiła swoje imię, a dostojnik kościoła wznosił u ołtarza rozbłysną jak słońce monstrancję. To miejsce i ta chwila były ostatnim szczytem jej ziemskiej miłości i jej ziemskiego szczęścia, których dalekie lecz przenikliwe echa nappełniły ją teraz, gdy wstąpiła nań znowu pamięcią i wyobraźnią. Powolnym, automatycznym ruchem podniosła z kolan swoją chudą rękę i chwilę na nią popatrzała. Ta ręka spoczywała podówczas w jego dłoni; rzuciła wzrokiem na swoją kibić; opasywało ją wtedy jego ramię. Stawały się wtedy na świecie i wkrótce dzieć się miały rzeczy, które dla niego, zarówno jak dla niej były wielkie i drogie. Więc dwoma najpotężniejszymi łańcuchami wzajemnej miłości i wysokich myśli z nim związana, długo spoczywała w jego objęciu cicha, ufna, jak w morzu szczęścia. Krople z tego morza, teraz także wysączyły się z siedliska wspomnień i w żyłach jej z krwią zmieszane, biegły po nich strugami wzruszeń. Ostre jej rysy złagodniały i zdawały się wypełniać, po ustach błędziły uśmiechy i nieruchome źrenice nappełniały mgły upojenia. Było to na wąskiej polnej ścieżynie, w cieniu rozrosłych leszczyn, przy pełnym blasku południowego słońca. Płomień wstydu ją ogarnął, sploniona powstała szybko i na znajdującą się w pobliżu rówieśnicę zawołała: Klarciu! Klarciu! Teraz także po dwaroc imię to wymówiła, a jednocześnie z jasnością, która z halucynacją graniczyła, ujrzała dobywającą się z gęstwiny zboża i po zielonej miedzy biegnącą różową dziewczynę, z pękiem bławatów w rękach, w lekkich i jasnych muślinach. Biegąc z leszczynowego krzaku, sploszyła stado drobnych ptaków, które z piskliwą wrzawą i trzepotem skrzydeł podniosły się w powietrze, duży motyl nad głową jej leciał, głosy szumiały zcicha; daleko, w górze, płynęły białe obłoki i łagodziły żar słońca... pogoda letnia, cisza polna, radość

wszech istot, miłość, przyjaźń... Stwórcu! jakże pięknym jest Twój świat! Niebo jego — to na drogocennym bławacie haft dyamentowy, ziemia — kobierzec z traw i kwiatów, powietrze — ocean świeżości i woni, serce człowieka, — kielich po brzegi nalany szczęściem!... Nagle, z tą samą wyrazistością, z jaką ujrzała i uczuła rajski rozkwit życia swojego i świata, zobaczyła i uczuła okrutną ich ruinę. Słyszała huk wystrzałów, patrzyła na płonące ściany swego domu, na trupy i klęskę braci, na ludzi, którzy, wzajemnie tępiąc się, w łunie pożaru, mieli barwy, rysy, skręty żrących się szatanów, na sceny do tej podobne wszędzie dokoła... na tę nakoniec ostatnią, gdy w dwu najdroższych dla niej dłoniach skruszyło się jej dawne, ufne, pogodne serce i gdy ujrzała spadającą na całą już ziemię grubą, czarną, zupełną ciemność. Wszystkiem, co pod tym płaszczem ciemności było i żyło, wzgardziła; od mąk wzdąry, po rozkosz uwielbienia do Boga uciekła, a jednak, teraz, gdy znowu ciemność pełna trupich bladeści i krwawych przerażeń spadła w jej oczach na tak zwodniczą, ale tak rajską piękność ziemi, uczuła takież jak niegdyś ciężki, gorzki żal. Był to jeden z tych żalów, z których wyrastają wysokie i chore kwiaty melancholii.

Jak melancholicy miała ona teraz w głębi myśli splątane jęki i skargi, a na dnie piersi kamień cierpienia, który jej z oczu łzy wyciskał. Na swoim białym, wąskim łóżku siedziała jak senna, z członkami zdjętymi taką niemocą, że splecione jej ręce na czarnym habicie wyglądały, jak rzeźba z marmuru. Z szeroko rozwartych jej oczu grube łzy padały powoli, równo, na wychudzone policzki i czarny habit, na złoty u piersi krzyż i marmurowe ręce, które piekły, tak były gorące; ale ona tego nie czuła. Nie czuła nic, oprócz ciężkiego, gorzkiego żalu za rajsko piękną ziemią, na którą spadła ogromna ciemność, z larwami znikomości i zła na dnie. Zło, znikomość, grzeszenie, cierpienie i umieranie powszechne i konieczne, Stwórcu, oto twój świat! Niebo jego — obłudny błękit, z którego w ufnych spadają grady i gromy, ziemia jego — kretowisko, w którym tajemnie na stopy przechodniów czyhają zjadliwe gady, powietrze jego — ocean smutku i trwogi, serce człowieka — kielich po brzegi nalany łzami! Ludzkość jest zbiorowiskiem mar, które zapominają o tem, że lada powiew rozwiać je może, szkieletów, niepomyślnych na to, że lada chwila opadną z nich łachmany ciała. Gromada szaleńców, wyobrażających sobie, że doścignie, co ściga, i o różne ściany roztrzaskująca sobie głowy i serca; głodnych nędzarzy żrących się o kości; głupich pawłów, pyszniących się kroplą barwniku, pierze ich zaprawiającą; dzieci, które z samych siebie wypuszczają bańki mydlane i klaszczą im z zachwyceniem, a przez to tylko żyć mogą, że zapominają o tem, co było wczoraj i co będzie jutro. W powietrzu, w wodach, w gęstwinach traw i drzew, w siedliskach zwierząt i ludzi, dobroci, litości, bezpieczeństwa nie ma. Wszędzie toczą się srogie boje i padają śmiertelne ciosy. Nawet polne kwiaty, niewinne i wspaniałe, ścina kosa i sierp, a te, które rosną w nieznanym samotnościach umierają same i rozkładają się na widome atomy — tak, jak człowiek i jego uczucia, które niewinnością i wspaniałością im podobne, a w jego trującym oddechu zmieniają się w nagie i zgniłe badyle. Wszystkie zresztą płody i zjawiska ziemi, dobre czy złe, są cieniami, które płyną, płyną przez ocean czasu, wzajemnie wypierając się i nikną w nieskończoności. Nic nie trwa. Nie ma na ziemi takiej rzeczy w dziedziczeniu materii i ducha, któraby mogła nie uleść rozkładowi, więc zgniliznie. Zarówno chmury jak kwiaty, członki człowieka jak jego nadzieje, są obecną lub przyszłą, dokonywującą się lub dokonaną zgnilizną. Śmierć toczy wszystko, jak robak drzewo. Komórki, składające tkaniny ciała nowonarodzonego, umierają w pierwszym już dniu jego życia, zastępują je nowe, które jutro umrą, aż przejdzie dzień, w którym nie przybędą żadni zastępcy i obietnica trupa stanie się jego spełnieniem. Bo tylko śmierć obietnicę swoje spełnia, ale czyni to już niezmiennie i powszechnie, Zresztą, wszystko ma usta pełne przyrzeczeń a nic ich nie dotrzymuje.

Całe stworzenie, od wierzchu do dna przestrzeni i od krańca do krańca czasu, przebiega nieunikniony, powszechny duch zniszczenia i przenika nieskończony, powszechny, jęk zawodu. Stwórcu, oto twój świat!

Tak myślała i płakała cicho, nieruchomo, wielkimi łzami, które równo i powoli padały na czarny habit, na złoty krzyż u piersi i na ręce, które piekły, tak były gorące; ale ona tego nie czuła. Tak była przyzwyczajona zawsze i tylko z Bogiem rozmawiać, że i teraz myśl jej, jak z dna otchłani, do niego przemawiała.

— Panie Wszchemocny, dlaczego nie przemienisz? Ojcie najlepszy, czemu nie litujesz się? Bezmiarze światła, dlaczego nie oświecasz? Ręko najmocniejsza, czemu nie dźwigasz? Wiedza doskonała, czemu nie naprawiasz? Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, czyż one są zgładzone? Chryste Zbawicielu, cóż jest zbawionem? Chryste Odkupicielu...

To imię wstrząsnęło nią i przywróciło jej przytomność. Spojrzała na krucyfiks, porwała się na nogi i śmiertelnie przerażona krzyknęła.

— Chryste! wszakże ja bluźnię!

Z załamanymi dłońmi i obłędem w oczach myślała, że ten jeden dzień zniszczył długoletnią pracę jej serca i woli, oddalił ją od Boga, którego obraziła uczynkiem, myślą i słowem: uczynkiem, bo przez chwilę poddała się była pociągowi ziemskiemu; myślą, bo przez długie godziny tonęła w ziemskich wspomnieniach; słowem, bo, o zgrozo! spór z Bogiem toczyła. Tak: przez litość i żal nad ziemią, czyniła wyrzuty jej Stwórcy i Panu. Naśladowała więc fałszywych mędrków i ohydnych bluźnierców świata, hańbiła święte miejsce, na którym się znajdowała, gubiła swoją duszę. Gdyby w tej chwili umarła — zakonnica występna, duch złego uniósłby ją do piekła, jak prawowitą swoją własność. Ale potępienie wieczne i jego męki wydawały się jej niczem, wobec żalości, której doznała na myśl, że obraziła Boga i powiększyła przestrzeń, dzielącą ją od tego jedyne przedmiotu miłości jej i czci. Niedarmo była nikczemną grudą ziemskiej gliny. Wszystko, co o naturze ziemi myślała, i w niej istniało. Napelniała ją, zarówno jak ziemię, złość grzechu, uczucia ulegały powszechnemu prawu znikomości. Popelniła to, czem brzydziła się najwięcej: zdradę. Zdradziła Boga.

Nie płakała już tak, jak przedtem cicho i nieruchomo, ale ulewą łez, z piersią pełną jęków, z rozpacznie do krucyfiksu wyciągniętymi rękami. Potem jednak płacz jej ustał, ręce w dół opadły, podniosła głowę. Nie; nie podda się ona powszechnemu prawu świata, głową przebije powszechne brudne morze i wzniesie się nad nie, weźmie się za bary z powszechną znikomością i zdepcze tę marę. Stopą o ziemię uderzyła w taki sposób, jakby tę kulę z gliny i błota z pod nóg swych wytrącała. Niech leci w bezdenną otchłań! Ona wzbije się nad nią, samotna i zwycięzka wzleci ku źródłu doskonałego dobra i zmiesza się z niem w krainie wieczności. Nie miała najlżejszego przypuszczenia, że w tej chwili ściślej niż kiedykolwiek łączyła się z naturą swego rodu, w pysze i samolubstwie; czuła owszem ogromną żądzę wydarcia się z pośród ludzkości, wyniesienia się nad nią, karcenia i gnębienia tego, co ją upodabniało z ludzkością i do ziemi przykuwało. Cóż to było, jeżeli nie ciało, ta szmata, przepojona wyziewami ziemi, ten zbiornik pokus. Ono to było tym przyjacielem ziemi, który w niej litość dla ziemi obudzał, spółnikiem szatana, wrogiem Boga. Nie dość jeszcze surowo obchodziła się z niem dotąd, nie zdołała go jeszcze podbić. Upokorzyło się było wprawdzie, przycichło, ale było to znać tylko podstępne zaczajenie się, aby w chwili sposobnej, tem skuteczniejszą napaść wykonać... Ach, kusicielu, wrogu, wiecznie odradzający się wężu!...

Teraz linia jej ust przybrała wyraz nienawistnej zaciętości, oczy błyskały ostro i srogo. Bardzo błada, stanowcza, prędkimi, ale pewnymi ruchy zdejmowała czarny welon, z pod którego głowa jej ukazała się, cała owinięta w białe płótna, zaledwie tu i owdzie przepuszczające na szyję i czoło drobne pasma czarnych włosów, odejmowała od piersi krzyż złoty, rozpiniała u szyi habit, aż nagle upadła na klęczki przed krucyfiksem, pod słabym światłem lampki do połowy obnażona. Jednocześnie, blade i delikatne, ale w tej chwili sprężyste i silne jej ramię wyciągnęło się nad pochyloną nieco głowę, w powietrzu świsnęła i na białe, cienkimi kośćmi sterczące plecy, na kształtne, spadziste ramiona, na pierś dziewiczo szczupłą i drobną, na szyję wdzięczną linią dobywającą się z pod białych płócien, raz po razie szybko, miarowo, mocno opadać zaczęła — dyscyplina.

— Tak, tak! Jeszcze częściej, jeszcze mocniej. Nigdy za często, nigdy za mocno! Gdyby to było podobnem i gdybyś ty, Panie, na to pozwalał, jakże byłoby dobrze całkiem ten lachman rozszarpać i z więzienia jego wypuścić ptaka — duszę!

Możnaby mniemać, że ta sama siła z zewnątrz, która dopomagała jej w spełnianiu ciężkich i wstrętnych robót, gdy była jeszcze nowicyuszką, wstąpiła teraz w jej ramię. Niezrównanie gibkie i zręczne było ono niezmordowanem. Na plecach jej, ramionach, piersi, szyi, powstawały długie różowe blizny, stawały się coraz gęstsze, zaogniały, czerwieniały, aż sączyć zaczęły krople, potem wąskie strumyki krwi.

Ona, z tem krwawym ciałem tak niewzruszonym, jakby z kamienia wykutem było, z szybko i prawie rytmicznie świszczącą w rękę dyscypliną, w oczach tkwiących w krucyfiksie miała wyraz zachwycenia. W strasznym jej bólu była rozkosz, dla wszystkich, oprócz jej jednej, niepojęta. Cierpiała tylko nad tem, że więcej cierpieć nie może i od czasu do czasu usta jej drgały szeptem:

— Niech więcej boli, o Panie, spraw, aby więcej bolało!

W myśli, z zadawanych sobie ciosów składała Bogu ofiary.

— Za grzechy moje! Za to, że zamiast do Stwórcy, do stworzenia miłość uczułam. Za wspomnianie rozkoszy ziemskich! za litość nad ziemią! za spór bluźnierczy o niezbadane Twoje wyroki!

— Jeszcze raz, jeszcze, jeszcze!

Słabła przecież, mimowolne łzy, dwoma sznurkami po jej policzkach ciekły i na piersi mieszały się z wysączoną przez blizny krwią, zachwiała i znowu umocowawszy się na klęczkach, ze wzmożoną raz jeszcze siłą na plecy dyscyplinę opuściła.

— Za grzechy świata! Za nędze ziemi! Panie! Panie! Raz jeszcze, raz, raz... za grzechy świata! za nędze ziemi!

Znowu więc za światem wzgardzonym, za ziemią nieszczęsną wołała, ale już nie mogła mieć o tem świadomości, ani modlić się, ani katować się dłużej. Dokonała swego zamiaru, zgłębiła ciało tak, że zgasły w niem siła, myśl i uczucie. Z ręki jej wypadła dyscyplina i ona sama z lekkim stukiem na podłogę celi runęła przed krucyfiksem, twarzą ku ziemi. Poranione jej plecy, z obu stron ropostarte ramiona i owijające nogi zwoje czarnego habitu, nadawały jej postać żalobnego i skrwawionego krzyża.

Wtedy, za oknem, na którego pobielalych szybach rysowały się czarne i twarde linie kraty, powstawać zaczął świt pięknego dnia. W wielkim klasztorным ogrodzie robiło się widno i błękitno, na skraj nieba wstępował rumiany obłok, lekkie wietrzyki latały po drzewach, szmerząc w zieleni: słońce wschodzi! słońce wschodzi! W gnieździe zawieszonym u gżemu okna, tuż przy jego szybie, obudziła się i wesoło zaszczębiotała jaskółka.

V

Od owego dnia, siostra Mechtyla utraciła dręczące ją przez czas jakiś uczucie chłodu i lenistwa ducha. Owszem, doznawała większej niż kiedykolwiek żarliwości w modlitwie i jaśniejszego jeszcze niż przedtem poczucia nadprzyrodzoności. Siostry zakonne spostrzegły, że miewała na policzkach małe, okrągłe rumieńce i niezwykle, ognisty połysk oczu. Były to wybijające się na zewnątrz oznaki gorączki, która przez kilka dni ogarniała ją naprzemian dreszczami chłodu, albo piekącym upałem. Czuła bóle w głowie i kościach, idąc, często chwiała się na nogach, a gdy na chórze w ławce swojej klęczała, zmuszona była, aby nie upaść, ramieniem opierać się o ścianę. Nic dziwnego; na rany zadane sobie dyscypliną, włożyła włosienicę, która gojenie się ich utrudniała. Była chorą, całe jej ciało zdawało się być jedną raną, ale przez ten stan właśnie sprawiane głębokie osłabienia, a także nadzwyczajne sny i widzenia, niewymownie ją uszczęśliwiały. Kiedy bliska zupełnego omdlenia, do najbliższego ruchu chwilowo niezdolna, leżała na podłodze kaplicy lub celi, zdawało się jej, że już stała się czystym, wolnym duchem, który wnet, wnet utraci do reszty poczucie ziemi i wzleci w strefę nigdy nie objawiającą się jej dokładnie, którą przecież w przelocie błyskawicy widywała niekiedy niezmiernie wysoko, w postaci jasności świetnej, łagodnej, niewyraźną melodią szmerów i śpiewów przepojonej. Posiadła teraz w najwyższym stopniu tę fantasmagoryę widzeń, które napępnia zamknięte oczy ludzi z choremi nerwami i podnieconą wyobraźnią. Dostyc jej było zamknąć powieki, aby na tle ciemnym albo ciemno-purpurowym zobaczyć blade oblicze Chrystusa, niewysłowienie piękne głowy i profile świętych, czasem pary oczu miłośnie lub litościwie w nią wpatrzone, albo barwne i złociste linie, wypisujące tajemnicze jakieś hieroglify, splatające się w kielichy kwiatów o nigdy nie widzianych kształtach, w palmy, w głębokie perspektywy kolumn. Wszystko to, szybko i niepochwytne pod powiekami jej płynęło, kołysało się, przekształcało i naksztalt niksztalt i wciąż odradzających się obrazów, wywijalo się jedno z drugiego, a ona, z zachwyconą i trwożną ciekawością, w metamorfozach tego fantastycznego korowodu, szukała zsyłanych jej przez niebo znaków obietnicy, rozkazu, łaski. W snach, mistyczne widzenia jej wyraźniejszymi jeszcze stawały się, niż na jawie.

Była to czasem spływająca z nieprzejrzanymi wysokościami ku ziemi szeroka brama tęczy, po której pięły się duchy z lotnych mgieł i grały szmerem cudownej melodi niewidzialne skrzydła. Był to czasem płaszcz ogromny, dziwnie miękki, który ją całą ogarniał tak, że nie widziała nic, tylko czuła przejmującą rozkosz spoczywania na ciepłym, powoli kołyszącym ją łonie, które jak wiedziała, było łonem Boga. Były to także zmieszane z sobą, nieujęte, lecz w rajskiej harmonii zlewające się barwy, wonie, tony... Z tych snów budziła się z pierśią wzdymaną wielkimi westchnieniami pragnienia i tęsknoty, poczem długie godziny upływały jej bezsennie, w zachwyceniu, które upajało ją jak wino i jak ono dawało jej siły wstać, biedz na jutrznię i z chóralnym śpiewem zakonnice łączyć swój głos zrazu słaby, lecz w miarę tego, jak powstający dzień oświetlał długą, wysoką salę błękitem świtu i różowymi blaskami wschodu, coraz silniej i srebrniej brzmiały.

Kiedy w czasie cichych mszy codziennych i uroczystych, świątecznych nabożeństw, klęczała pomiędzy ciemnymi poręczami swojej ławki, twarz jej w ramie welonu wyglądała jakby była wykrojoną z białego opłatka i tylko czarne, zapadłe oczy świeciły pośród niej jak dwie nieruchome, żarzące się gwiazdy. Nieruchome, we wznoszący się za kratą ołtarz utkwione, miały one wyraz niezgłębionej tęsknoty i bezbrzeżnego zakochania.

Dość długi szereg dni upłynął, przez które nie spostrzegła wcale codzien jednak wbiegających do chóru i dwoma długimi rzędami na błyszczącej jego posadzce klękających pensjonarek. Nie spostrzegła ich tak, jak nie czuła najłżejszego wrażenia wszystkiego, co ją otaczało. Raz przecież, przed rozpoczęciem się mszy, gdy kratę okrywała jeszcze wielka płócienna opona i po chóralnie odmówionej przez zakonnice modlitwie, na chórze zapanowała cisza, siostra Mechtylda wzrok od rozwartej książki oderwała i zupełnie mimowoli spotkała się nim z małą dziewczynką, która, w tej chwili właśnie nadbiegłszy, tuż obok ławki jej uklękała. Klękając, okręciła się tak szybko, że białe jej spódniczki swawolnie z pod ciemnego pensjonarskiego mundurka błysnęły, a potem, tłumiąc igrające na twarzy uśmiechy i nadzwyczaj uroczyście ją układając, ze złożonymi rękami i nabożnym wstrząśaniem głowy prędko, prędko szeptać zaczęła:

— Ojciec nasz, któryś jest w niebiesiach...

Siostra Mechtylda uklękała. Wszystkie zakonnice stały jeszcze pod dwiema ścianami chóru i, stojąc, nabożną pieśń chóralnie śpiewać zaczynały. Ona uklękała i, w ławce swojej ukryta, całą swoją siłą skupiała w modlitwie całą swoją duszę. Doświadczyła głuchego uczucia niebezpieczeństwa. Ta drobna istota, do różowych i złotowłosych aniołów podobna, była wrogiem, przed którym ona uciekać i zbroić się musiała. Zresztą, na dwie strony rozchyliła się teraz biała zasłona i za wielką kratą ukazał się ołtarz, z kilku świecami palącymi się pośród wyłaczanych kolumn. Msza była cicha. Do chóru dochodził tylko stłumiony szmer modlitw księdza, mszę odprawiającego i od czasu do czasu dźwięk trzykrotnie wstrząsanego dzwonka. Czyjeś ciężkie kroki rozległy się w pustym kościele i obudziły w nim długie echa. Z jednego z wysokich okien chóru struga światła słonecznych lała się na jaskrawe wieńce, otaczające niszę, w której połyskiwał srebrny posąg świętej i błyskała paląca się przed nim na srebrnych łańcuszkach lampa. Zakonnice modliły się po cichu, czasem tylko, z dochodzącym od ołtarza szmerem łacińskich słów księdza, mieszał się na chwilę czyjś szept wezbrany i głośny, poczem milki i słychać było w górze trzepot bijącego się o szybę motyla, otwieranie się i zamykanie drzwi w głębi klasztoru, do bardzo oddalonego grzmotu podobny turkot kół, które otwarte wrota kościoła miały.

W tej ciszy siostra Mechtylda twarz swoją ku klęczącemu obok dziecku obróciła. Po sztywności i niemal automatyczności tego ruchu poznać było można, że był on mimowolnym odruchem bezwiednego, ale niezmożonego uczucia. Musiała spojrzeć na to dziecko, jak człowiek, czujący, że ktoś na niego nachodzi, musi obejrzeć się. Ale za ledwie na nie spojrzała, uczuła gniew i zgrozę. Półgodzinna nieruchomość w klęczącej postawie znudziła dziewczynkę, nabożne intencje, z którymi modlić się zaczynała, uciekły z niej bez śladu, natomiast ruchliwe, filuterne jej rysy drżały całe od niezmiernie świeckich prób i pokuszeń. Iskrzącymi się spojrzeniami po szeregach towarzyszek strzelając, ustami, brwiami, drobnymi palcami, które w szczególny sposób rozkładały się i składały, przesyłała im tajemnicze, lecz dla nich zapewne wyraźne znaki porozumienia, bo skądciś, na jeden z telegraficznych tych znaków przybyć musiała odpowiedź, znać bardzo zabawna, mała parsknęła śmiechem i dla stłumienia go, cały dół swojej roześmianej twarzy w obu

różowych garstkach ukryła. W tejże chwili ujrzała dwa białe, cienkie palce, dotykające jej rękawa i tuż przy sobie usłyszała półgłosem wymawiane słowa.

— Dla czego nie modlisz się? Jak śmiesz w przybytku Pańskim wyprawiać grzeszne śmiechy i swawole! Módl się! płacz i módl się! bij się w piersi i módl się! Jesteś lekko-myślnem, niewdzięcznym stworzeniem! Nie kochasz Stwórcy swego! Będziesz taką samą, jak twoja matka grzesznicą!

Przełęcznione dziecko widziało zbliżać się ku niemu nachyloną twarz jak opłatek białą, czarne rozżarzone oczy, usta prawie z nienawiścią wyswistujące srogie wyrazy i dwa, cienkie, białe palce wstrząsające się w powietrzu z gniewem i groźbą. Ostatnie słowa zakonniczki rozżaliły ją najwięcej, szybko na klęczkach w tył się cofnęła i znalazłszy się obok starszej towarzyszkii, jakby ochrony przed strasznym widzeniem szukając, przytuliła się do niej mocno i w fałdach jej sukni rozplakała się.

Siostra Mechtylda zaś, klęcząc w swojej ławce oddychała szybko i drżącymi palcami z głośnym szelestem przerzucała karty nabożnej książki. Była przeciw małemu stworzeniu temu tak oburzona, że czuła, iż tym razem namiętnie je znienawidziła. Takie to jeszcze małe, a tak głęboko w grzechu zanurzone! Już jednej godziny Bogu poświęcić nie jest w stanie, już jest gniazdem pustych myśli i swawolnych huci. Takim samem naczyniem, gotującym przyszłe grzechy, musiała być niegdyś jej matka. Kiedy patrzyła na figlarne miny i ruchy dziecka, przed oczami jej jak żywa stała tamta...

— Panie, jakaż złość i gorycz rozlewa się we mnie, jakbym była naczyniem warzącym jady. Jad zawziętej urazy wylał mi się przez usta i teraz jeszcze uspokoić się nie mogą bicia rozkołysanego mego serca... tętna krwi, jak dzwony biją mi w skroniach... Myśli jak wichry w tę przeklętą godzinę lecą, w której wspólny ich grzech poznałam... Bo nieprawdaż, Panie mój. Nie prawdaż, że oni ciężko, okrutnie zgrzeszyli? bo wszak zabraniasz zabijać to, co jest twoim najdroższym darem: wiarę! Ojciec mój, wyjm ze mnie tę mękę gniewu, bo w ciebie uwierzyłam najgoręcej wtedy właśnie, gdy zabito we mnie wszelką inną wiarę! skróć czas próby, boś jeden litościwy! Przebac mi ten nowy, ciężki grzech, bo strasznie cierpię...

W tej chwili, u ołtarza ksiądz po łacinie mówił.

— Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata...

Poczem otworzyło się w kracie małe okienko, ukazały się w niem białe ręce księdza, trzymające złoty kielich i wyjętą z niego hostyę. Zakonnice ze spuszczonej po usta welonami powstawały w ławkach i zstąpiwszy z ich podstawy, bez najlżejszego szelestu szły ku kracie, gdzie klękając, po najświętszy duchowy pokarm otwierały usta, a przyjąwszy go upadały na twarze i przed kratą, rzędem rozciągniętych na ziemi czarnych postaci leżały. Nie wszystkie miały prawo tego szczęścia codziennie dostępować. Było ono przywilejem tylko garstki najświętobliwszych i najbardziej od wszelkich spraw i zajęć świeckich oddalonych, do której naturalnie należała siostra Mechtylda. Dziś jednak, gdy złoty kielich błysnął w otworze kraty, nie powstała i nie poszła po najwyższą dla siebie uciechę. Zgrzeszyła i nie miała prawa przyjmować Boga do splamionego swego wnętrza. Gdy tamte, z twarzami przy ziemi i w krzyż rozciągniętemi rękami tonęły w zachwycie takiego zjednoczenia się z Bogiem, że we własnym łonie go posiadały, ona czuła się znowu więcej od niego oddaloną i, klęcząc, żarliwie odmawiała pokutną modlitwę. Ustami odmawiała ją żarliwie, lecz po dniu jej myśli przepływały nieustannie zlorzeczenia ziemi i jej wszystkim płodom. Cóż bowiem, jeżeli nie ona i jej zjawiska, oddalały ją wciąż od Boga, w grzech uwodziły, stały pomiędzy nią i niebem? Ach gdyby zawsze i tylko być sam-na-sam z Bogiem! Gdyby za tym klasztorem istniała pustynia! Jakże szczęśliwymi byli ci Pańscy wybrańcy, których życie wypadło w miejscu i czasie pustyni!

Tego samego dnia, gdy na wieży kościelnej i w salach zgromadzeń, wielkie zegary, jeden po drugim wybijając dwunastą południową godzinę, napełniały klasztor, napowietrzną rozmową przewlekłych dźwięków, w głębi chóru, w wysoko wzniesionej swojej ławce, przełożona z lekkim stukiem, zamknęła kłamrę swojej bogato oprawnej książki i śpiewnym głosem wymówiła: amen! Potem, powstawszy, welon spuściła po usta, na szyję grubo sznur zarzuciła, w rękę wzięła zapaloną świecę, przez jedną z sióstr jej podaną i, zstąpiwszy z kilku wschodów, które jej ławkę z posadzką dzieliły, zwolna i z nową, półgłosem rozpoczętą modlitwą szła przez długą salę. W miarę tego jak szła ona, z ławek swoich wychodziły zakonniczki i z zakrytymi po usta twarzami, ze sznurami na szyjach,

z zapalonemi w rękach świecami, półgłosem powtarzając mówioną przez nią modlitwę, postępować za nią zaczynały. Tak wyszły z chóru i stąpały wąskim, pełnym zmroku korytarzem, na którym minęły bogato wyzłocone drzwi najświętszej z klasztornych kaplic, weszły na inny, którego ściany okrywały przez czas pociemniałe, lecz tu i owdzie jeszcze trupiemi bladociami albo ognistą czerwienią świecąca obrazy, miały szeregi gotyckich, w grube mury oprawionych okien, różne ciemne, ciężkie i zamknięte drzwi; kroki ich nie czyniły żadnego szelestu, w zamian, kilkadziesiąt ich półgłosów, odmawiających modlitwę, sprawiało po długich szlakach korytarzy, monotony, basowy szmer. W ten sposób reguła zakonu przepisywała im udawać się codziennie do refektarza na posiłek południowy. Żadnej wesołości, ani pustoty, którym często w przedobiednich chwilach oddają się ludzie świeccy, żadnej rozmowy, przeciwnie, skupienie ducha przez zakrycie twarzy, wspólna modlitwa, na szyjach znak umartwienia i pokuty. Tak postępowały, aż z długiej i prawie zupełnie ciemnej arkady, wyszły nagle na korytarz ogromny, szeroki, prawie olśniewającym światłem napelniony. Tu ściany były nieskazitelnie i śnieżnie białe, przez ogromne okna, z których niektóre były otwarte lały się potoki słonecznego światła i wiosennego powietrza, z za długiej ściany, przetrniętej kilku cienkimi drzwiami szeroko rozlewał się przytłumiony, niewyraźny, młodością bijący gwar cienkich, donośnych głosów, śmiechów, fortepianowych dźwięków, tententu przechadzających się i biegnących stóp. Na dwu tych tłach: słonecznego światła i młodzieńczego gwaru, niewzruszenie i jednostajnie, z jedną na przedzie, po kilka w dalszych szeregach, sunęło kilkadziesiąt czarnych postaci, z zakrytymi twarzami i szyjami zgiętymi pod ciężarem grubych sznurów, błyskając kilkadziesiątu płomykami gromnic i tyłuż złotymi krzyżami u piersi. Gdy mijaly drzwi szeroko na wielki ogród rozwarłe, dość długo przesuwaly się po zasłaniającej je gęstej i świeżej zieleni, a basowy szmer ich półgłosów, złączył się z buchającym przez nie wielkim śpiewem i świegotem ptastwa. Ale niebawem za temi drzwiami były inne, wysokie i pięknie rzeźbione, które teraz, ostrożnie, uchylily się i w dość szerokiej szczelinie ukazały kolumnę, czy piramidę dziecinnych ubrań, członków i twarzy. Było to zjawisko, z powodu szczególnej architektury swojej dość ciekawe. Zupełnie małe i nieco podrastające dziewczynki, jedne na ziemi przysiadłe, inne stojące, inne jeszcze u ramion towarzyszek, u odrzwi, u zawias uczepione, jedne nad drugimi wznosiły się wysokim pasem, tak z sobą zmieszane, że niepodobna byłoby wyraźnie dojrzeć, która z tych małych głów należała do którego z tych giętkich, szczupłych ciał i widać było tylko drobne ramiona opasujące cienkie kibicie, białe pończoszki na tle ciemnych sukien i białe szerokie krezy, które jak na talerzach podnosiły małe głowy, jasno i ciemnowłose, z których każda miała parę szeroko otwartych, ciekawych, błyszczących oczu. Były tam małe palce przyłożone do figlarnych ust z cichym wykrzyknikiem: cyt! ruchliwe małe stopy, depczące po białemi fartuszkami okrytych kolanach, pozy podane naprzód, albo wspięte na palcach, zaczajone, z podniesionemi rękami jakby ulatujące, a wszystko to razem, jakkolwiek milczało, wrzało ruchem barw i linii, wezbranem wesołem życiem. W ten to sposób prawie codziennie, przez szczelinę w pół otwartych drzwi, dzieci tłumnie przypatrywały się pochodowi zakonnicy do refektarza, którego posepny i uroczyisty widok obudzał w nich wieczną ciekawość, a którego zbliżanie się oznajmił im zasłyszany zdala szmer ich zbiorowej modlitwy. Dobre siostry spostrzegały to wykroczenie przeciw regułom zakonu i pensyi, lecz pobłażliwie udawały, że go nie spostrzegają. Czasem tylko, na tyłach ruchomej kolumny odzywał się gruby głos matki Norberty, któremu wtórowało dzwonienie głośnie wstrząsanych kluczy i wtedy w mgnieniu oka rozsypywała się ona i z rozbiegającymi się we wsze strony strumykami cichych śmieszków, nikła. Ale dziś matka Norberta, gdzieindziej śnać, zajęta, nie nadchodziła i kolumna splełanych ubrań, członków i głów dziecinnych, w wąskim otworze drzwi dość długo stała naprzeciw czarnego orszaku z zasłoniętymi twarzami i zgiętymi szyjami, z płomykami zapalonych świec i złotych krzyży, sunącego bez szelestu kroków, lecz z basowym gwarem półgłosów, długim korytarzem, w wielkiej światłości dziennej, przez smugi słonecznych blasków. W tem, coś tam stało się nadspodziewanego, jakieś małe stopy zbyt silnie przycisnęły jakieś szczuple kolana czy ramiona, bo ze środka kolumny ozwał się przytłumiony, ale rozgniewany krzyk: „Klarcu, co robisz?” u szczytu jej coś jednego, drugiego, trzeciego zaparskało śmiechem, podstawy jej zachwiały się i wszystko runęło, rozsypując się na części i z hałasem zatraskując drzwi, za któremi dały się tylko słyszeć stuki upadków, krzyki przestachu, ciche początki

klótni i górujące nad wszystkim długie, zanoszące się, szybko kędyś z tententem stóp oddalające się śmiechy. U brzegu spuszczonego welonu z pąsowych ust przełożonej, nieposkromiony uśmiech spędził na chwilę słowa modlitwy; koścista matka Floryanna kilka razy mocno pociągnęła nosem, aby głośno nie zaśmiać się; z dalszych szeregów kilka spojrzeń z rozweseleniem albo czułością, pod spuszczonego welonu ku zatrzaśniętym ze stukiem drzwiom i znikającej za nimi żywej kolumnie strzeliło; ale były też tam głowy, które zatrzęsło oburzenie, usta, które wykrzywiły się niesmakiem i oczy, które, dla uniknięcia dalszych zgorzeń, usiłowały nie podnosić się już z nad ziemi. Siostra Mechtylda czuła teraz piekącą nienawiść dla młodości, wesołości, śmiechu, dla blasków dnia, zieleni drzew, śpiewu ptaków. Wszystko to były tylko jednym, wielkim naczyniem, w którym gotowały się grzech i śmierć, pułapką na dusze ludzkie, na jej duszę, którą... kusiły. Ach tak; nienawidziła je, dla tego właśnie, że zalecał ją ich powab. Gdy z pod ciemnej arkady wyszła na olśniewająco jasny korytarz, uczuła wpadającą w pierś jej kroplę radości, smugi słoneczne, które czarną swoją postacią przerzynała, ciepłą pieśczętą głaskały jej poranione plecy; od ogrodowej gęstwiny świeży powiew wkradł się pod spuszczonego welonu i błogo ochładzał jej płonące oczy; na koniec, na tę kolumnę z żywych, dzieciennych ciał z za rąbka wełnistej tkaniny patrzyła długo, przestając modlić się... Ach, nieszczęsna! Jakże mało, mało jeszcze klasztorne mury i kraty rozdzielały ją od świata! Pustyni zapragnęła, takiej ciemnej, głębokiej groty, do którejby nigdy nie zajrzało spojrzenie słońca, ani człowieka. Nic, tylko ciemności, przy bladej lampce widoku trupiej czaszki, wiecznej ciszy i samotności... pustyni!

Dnia tego, może z przyczyny całonocnego czuwania, lub że niedawno opuściła ją gorączka, czuła się bardzo głodną. Od pobliskich kuchennych do mrocznego i wiecznie chłodnego przedsionka refektarza zalatywały zapachy jadła. Siostra Mechtylda w myśli mówiła swojemu ciału, że udręczy je w sposób dziś dla niego najdotkliwszy. Za to, że uczuło ono radość światła i pieśczętę ciepła, znosić będzie męczarnię głodu. Za to, że wnętrzości jego spłodziły dziś znowu grzech wspomnień i gniewu, rozedrże i skurczy je głód. Postanowiła nie jeść.

W refektarzu widniej niż w dzień bywało wtedy, gdy paliły się w nim lampy, na żelaznych łańcuchach, z wysokiego sklepienia zwisające. Teraz, w wiosenne słoneczne południe, tak mało światła przenikało doń przez wąskie, gęsto okratowane okna, że napelniał go zimny, szarawy zmrok, w którym białe płótna zaścieniające długie stoły i połyskiwała lampa zawieszona u świętego posągu, w głębi na kilku wschodach stojącego i tonącego prawie w koronkach i kwiatach. Na malej, kunsztownej, u jednego z okien wznoszącej się ambonce, jedna z sióstr czytała głośno przypadający na dzień ten żywot świętego, a z leniwym i trochę nosowym jej głosem mieszały się lekkie dźwięki metalowych naczyń i ciche kroki posługujących dokoła stołów nowicyuszek. U stołów siedzące szeregi zakonnic czarno odbijały na tle drewnianych poręczy ławek, przetrzyniętych szlakiem wymalowanych na nich scen niebieskich, czyścowych, piekielnych. Spożywając pokarm cielesny, każda z sióstr przy najbliższym obejrzeniu się, spotkać mogła wzrokiem wznoszącego się za jej plecami anioła, albo szatana, kosę śmierci lub aureolę świętego. Takie same malowidła, unosiły się nad refektarzem w najwyższej części sklepienia, błyskając wśród zmroku złotem glorioli, szafirem niebios, białością ciał potępieńców i czerwonością szat w niebo branych. Za szerokim oknem kuchennym, przez które posługujące siostry przyjmowały kociołki i misy z żywnością, widać było zdala pobłyskujący płomień kuchni; odpowiadały mu, daleko bledsze, ruchome promyki słoneczne, które z zewnątrz wieszaly się i wily po kratkach okien, przez drobne szyby i głębokie nisze, do wnętrza refektarza dostać się nie mogąc.

O kilka kroków od świętego posągu, na tem samem co on wyniesieniu, przełożona, siedząc w samotnej swojej ławce, powoli czerpała zupę z cynowej miseczki, srebrną łyżką, na której, wraz z dziewięciopalkową koroną, znajdował się wyrznięty herb jej rodu. Córka wielkopańskiego domu, za mało piękna i bogata, aby z łatwością znaleźć mogła w świecie położenie urodzeniu swemu odpowiednie, z natury i wychowania głęboko wierząca, przywdziała suknie zakonne ze spokojem pewności, że tym sposobem godzi skłonność swojej duszy z wymaganiami swego imienia i świata. Uwiadomiono ją i w głębi sama była tego pewna, że zarówno przynoszone przez nią klasztorowi wysokie stosunki, jak osobiste jej przymioty, wcześniej zdobędą dla niej w klasztorze miejsce naczelne. Ta zachęta, która jej

przebycie tych progów ułatwiła, teraz w rzeczywistość zamieniona, sprawiała jej zadowolenie spokojne, ale wystarczające. Z umiarkowaniem sprawując władzę, lubiła ją i rzeczom niebieskim nieskończoną wyższość nad ziemskimi przypisując, mniemała, że i w tych drugich może znajdować się niekiedy coś niewinnego a miłego. Było w niej połączenie doskonale uczciwej zakonnicy z wytworną i energiczną kobietą. Idealistyczny kierunek myśli i bardzo czysta wyobraźnia chroniły ją od wszelkich pokus i chęci, ze stanem jej niezgodnych; natomiast, nie myślała wcale, aby Bóg wielki mógł czuć się obrażonym tak drobnymi przekroczeniami reguły zakonnej, jak posługiwanie się srebrną łyżką z wyrytym na niej herbem, na który, żadnej wagi do światowych wielkości nie przywiązując, lubiła jednak czasem popatrzeć, — albo użycie pięknego kobierca pod stopą i miękkiej poduszki pod głowę, bez których zdawałoby się jej, że już za życia i bez bardzo widocznej przyczyny, popadła w szpony dyabelskie. Nie wyobrażała też sobie, aby w upieczonym udzie indyka czaił się i na nią czyhał grzech śmiertelny; lubiła pieczone ptastwo i słodkie ciastka, nie wierząc, aby duch złego mógł być wynalazcą tak dobrych rzeczy. Dla jednych ze swoich sióstr zakonnych uczuwała serdeczną przyjaźń, dla innych tylko miłość w Chrystusie, ale dobrobyt i zdrowie wszystkich mocno na sercu jej leżały. To właśnie było przyczyną, dla której energicznie i gorliwie zajmowała się materjalnymi sprawami klasztoru, krzątając się po nim we wszystkie wolne od koniecznych nabożeństw chwile, w parloarze klasztornym długie rozprawy tocząc przez kratę ze świeckimi doradcami i pomocnikami swymi, często na długie godziny zatapiając się w rachunkach. Ta nieustanna prawnie czynność ustalała jej dobry humor, który też i u innych lubiła, nieśmiało myśląc, że dobre zdrowie i przystojna wesołość milszemi wydawać się muszą dobremu Bogu, niż udęczone ciało i zaszepiona dusza. O zbawienie swojej duszy była dość spokojna, o miłosierdziu Pana myśląc daleko częściej, niżeli o jego sprawiedliwości. Ilekroć zaś uczuła, że popełniła błąd lub grzech, po wiele razy wołała w myśli: „o Panie, Panie, któż się przed tobą osto!” a porównanie niezmiernej wielkości Boga z niezmierną jej małością zupełnie ją uspakajało. Alboż tak wielka istota mścić się może nad tak małą? Alboż ona mściłaby się na mrówce, boleśnie nawet przez nią ukąszona? Dokonywała przepisanej przez regułę pokuty, niczem jej nie łagodząc i niczem nie zaostrzając, poczem znowu na długo napełniał ją zupełny pokój z niebem i ziemią. W świecie za nieładną kobietę poczytywana, stała się bardzo ładną zakonnica. Światowe jej krewne i znajome, które niekiedy ją odwiedzały i które ona w kapitulnej sami przyjmowała na adamaszkim obitych fotelach i częstowała czekoladą z biszkoptami lub wyborami z klasztornego ogrodu owocami, mówiły jej to nieraz, a ona z uśmiechem odpowiadała, że Bóg, który stworzył motyle i tęczę nie może przekładać grubiaństwa nad wytworność, szpetoty nad wdzięk. Istotnie, jej twarz różowa i pąsowe usta, a nadewszystko szafirowe jak bławatki oczy, z czarnych osłon welonu wyglądały świeżością i wdziękiem, a kibić, w starannie zawsze ułożonych fałdach habitu, nieco ciężka, miała miękką okrągłość kształtów i taką powagę ruchów, że same jedne zdradzały w niej one dostojniczkę kościoła, z domu księżniczkę.

Taką była matka Romualda. Teraz, niepodobna byłoby zaręczyć, czy z należytą uwagą przysłuchiwała się żywotowi Ś-go Aniceta, męczennika, czytany na pięknej ambonce, nosowym i nudnym głosem apatycznej i wiecznie zdającej się usypiać siostry Elżbiety. Z bardzo małym upodobaniem jedząc rosół, który też miseczki wszystkich zakonnic napełniał, niespokojne trochę spojrzenia rzucała na okno kuchenne, za którym spostrzegła matkę Floryannę w podniesionym habicie i zawiniętych po łokcie rękawach, krzątającą się wśród próbantek, które jej w kuchennych zajęciach dopomagały. Jeszcze trochę, a rozkazałaby której z posługujących nowicyuszek przywołać matkę Floryannę, ale ona sama, z za okna zniknąwszy, po krótkiej chwili do refektarza weszła i w całej długości go przebywszy, przed matką Romualdą dwa przyniesione talerze postawiła. Jak zwykle bywało, z przyjaznym kiwnięciem głowami uśmiechnęły się do siebie. Szafir oczu matki Romualdy nabrał żywszego blasku. Żywot Ś-go Aniceta nie był jeszcze skończony, więc cicho szepnęła.

— Pieczno kurczątko! Oho, siostrze, skądże wzięłaś je tak wcześniej? I sałata z oliwą... Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Ale wiesz co? rosół był nie dość mocny; dla mnie to nic, ale dla tych naszych świętych, które umartwiają się, każda potrawa powinna być pożywną. Tak, tak! popatrz tylko siostrze! Niektóre takie słabe, że ledwie żyją. Biedaczki! Wiem

dobrze, że to dla chwały Pana, ale boję się o zdrowie tych owieczek. Mocniejsze rosoly każ gotować, siostrzo, mocniejsze! Jak siły do reszty stracą, nie będą mogły Pana Boga chwalić, co zaś najważniejsze (tu szept jej stał się jeszcze cichszym), to że nie można na pewno wiedzieć, czy w głodnym ciele posępna dusza może bardzo podobać się Panu, który stworzył ciepłe i jasne słońce!

Matka Floryanna podzielała snąc tę wątpliwość, bo kilka razy potwierdzając głową zatrzęsła, poczem, ku przełożonej pochylona, z kolei zaszeptła:

— Na piątek i sobotę pud ryb kupiłam... Szczupaki i okónie. Z białym sosem przyrządę, matce wielbnej usmażyć pewno? prawda? I znowu sałatka z oliwą? Na drugie jarzynka. Dla matki wielbnej może parę jaj faszerowanych, co?

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze! — odszepnęła matka Romualda, ale uczyniła to z roztargnieniem, uparcie w jeden punkt refektarza zapatrzona. Brwi jej zsunęły się, miękkie, różowe ręce nad rozkrojonem na talerzu kurczęciem zawisły nieruchomo, trzymając nóż i widelec, na których znajdowały się wyrżnięte herby książęce, z dziewięciopalkową koroną.

W tej samej chwili po refektarzu rozległo się głośnie, nosowym głosem wymówione: *Amen* i siostra Elżbieta, leniwym chodem i z senną twarzą z ambonki zstępować zaczęła. Wtedy matka Romualda sztucce na talerzu położyła i spokojnie, ale nieco podniesionym głosem wymówiła.

— Siostrzo Mechtyldo! Tak słabą jesteś, że idąc chwiejesz się na nogach, onegdaj w kaplicy Najświętszego serca siostra Wincenta zaledwie zdołała otrzeźwić cię z omdlenia, teraz znowu zadajesz sobie umartwienie zupełnego postu...

Sama jedna w szeregu zakonnice, które poruszały ustami i rękami, a nawet, pomimo Ś-go Aniceta, nachylały się czasem ku sobie i z cicha szeptały, siedziała ona z welonem po usta spuszczonym, ze sznurem na szyi, z rękami wsuniętymi w szerokie rękawy habitu, plecami o poręcz ławki oparta i tak nieruchoma, że za posąg nocy wzięby ją można. Jadło na dwóch talerzach nieporuszone przed nią stało; pod rąbkiem welonu, usta jej zaciśnięte i tak prawie jak widzialny dół policzków blade, zarysowały wązką i nieprzewyciężonem cierpieniem wykrzywioną linię. Słowa przełożonej usłyszawszy, powoli, w całej wysokości swojej wysmukłej postaci wstała i na znak, że pokornie słucha, nisko pochyliła głowę. Matka Romualda mówiła jeszcze.

— Są tylko pewne godziny i okoliczności, w których święta reguła nasza nakazuje nam zakrywać twarz. W innych, dozwolone nam jest bez przeszkody patrzeć na światło i oddychać powietrzem bożem. Dobrze jest patrzeć na światło i oddychać powietrzem, które Bóg stworzył. Słabe ciało nasze pokarmu także potrzebuje, aby z niem razem nie omdlewała dusza. Bóg stworzył i ciało i duszę. Dobrze jest dzieło jego strzedz od zniszczenia. Zdejm, siostrzo, powróż z szyi, odsłoń twarz i spożywaj pokarm w spokoju, z wdzięcznością dla Tego, który cię nim obdarzył.

Pierwszej części tego rozkazu, tonem życzliwej rady wymówionego, siostra Mechtylda natychmiast usłuchała: zdjęła z szyi sznur i nad twarzą podniosła welon. Matka Romualda z zadowoleniem wymówiła:

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze!

I już srebrne sztucce z talerza podjąwszy w piersi kurczęcia zatopić je miała, gdy spostrzegła, że siostra Mechtylda stała jeszcze i usłyszała wyraźnie wymówione przez nią słowa.

— Uczyniłam pokutną intencję skarcenia ciała mego głodem za grzech dziś popełniony.

Teraz, zdala patrzyły na siebie, jednostajnie ubrane, jednostajnemu powołaniu oddające się, lecz gruntownym niepodobieństwem swoim przedstawiające bogactwo natury, które z ludzi, wszystkimi pozorami jednostajności obleczone, tworzy nieprzebrane różne zjawiska. Siostra Mechtylda, jak zwykle w okolicznościach takich, miała na zaostrożonej i białej, jak opłatek twarzy, wyraz zaciętej surowości i upor. W matce Romualdzie, zmieszanie, pochodzące z czci, którą miała dla tej najświętobliwszej, walczyło przez chwilę z tym głuchym gniewem, który towarzyszy zawsze starciu się dwu natur, wręcz i gruntownie ze sobą sprzecznych. To pieczone kurczę, zresztą, tak długo już przed nią stało i ta święta siostra tak wyglądała, że patrzeć tylko jak obłożnie zachoruje. Wszystko

to sprawiło, że wyprostowała się i z postawą wyniosłą, z roziskrzonym szafirem oczu, rozkazująco przemówiła.

— Nie najmniej ważnym punktem świętej reguły naszej jest posłuszeństwo dla zwierzchności. Prawem zwierzchności udzielonej mi przez wolę Boga i wybór sióstr naszych, zdejmuję z ciebie, siostrze intencję twoją i rozkazuję ci, abys jadła.

Rzekłszy to, nóż i widelec znowu w piersi kurczęcia zatopiła, ale nie uspokoiła się wcale. Uczuła, że zgrzeszyła dumą i gniewem i po kilkakroć w myśli zawołała: „o, Panie, Panie, któż się przed tobą osto?” Poczem jeszcze pomyślała, „trzeba to będzie jednak odpokutować!” i do stojącej dotąd obok niej matki Floryanny szepnęła.

— Nie trzeba na jutro jaj faszeryowanych, siostrze, nie, nie trzeba! Na jarzynce porzestanę...

Siostra Mechtylda jadła, ale bardzo powoli, tą powolnością usiłując jeszcze drażnić i dręczyć zgłodniałe swoje ciało. Z oczu jej do miseczki z jedzeniem, spadło kilka łez. Wrzała buntem, który jednak na zewnątrz objawił się tylko temi kilku niepodobnemi do powstrzymania łzami. Ze wszystkich przepisów zakonnej reguły, posłuszeństwo było najtrudniejszym dla tej duszy tak ognistej, że zawsze rwała się ku krańcom, i tak dumnej, że pogardzała wszystkim, co nie było nią. Dziś szczególnie, aktu posłuszeństwa dopełniała z wrzącym buntem i głuchą krytyką tej zwierzchności, która jej wolę ugięła. Jakże mało sama ta zwierzchność urzeczywistniała ducha wyrzeczenia się i umartwienia! Jakże niedostatecznie klasztor ten zaspakajał dusze, spragnione absolutnego rozbratu z ziemią i doskonałej spójni z Bogiem! Kędyż więc szukać ich miały, dokąd od ziemi uciekać? Którędy dążyć do nieba? O, pustyni! ciszo doskonała, zupełna nieobecności istot, słodkie, nieprzerwane, wieczne sam-na-sam z Bogiem... o, pustyni!

Jadła nie dużo, bo przecież dużo jeść jej nie rozkazano i z gwałtem woli jeść przestawszy nagle, przypomniała sobie celę siostry Kajetany. Ach, tak, widziała raz tę celę i słyszała o niej wiele... Z ponurych jej oczu błysnęła radość. W klasztornych głębiach dojrzała rąbek pustyni...

VI

O tak zwanej celi siostry Kajetany krążyły po klasztorze, cicho i głośno opowiadane legendy. Pierwsze nosiły, że było to więzienie, w którym niegdyś, bardzo dawno temu, zamknięto zakonnicę o stosunki z szatanem obwinioną i w którym ona, o chlebie i wodzie żyła czas jakiś, opętana, wyjąc, szczerząc się, straszne bluźnierstwa wyrzucając przeciw Jezusowi i Jego Matce. Innym razem, inna występna siostra, także bardzo dawno już temu, za zbrodnię złamania ślubów zakonnych i oddania się ziemskiej miłości, ponosiła tam podobno karę, u której końca jednak, przez samego biskupa rozgrzeszona, umarła we łzach skruchy i na równi z temi, które w niewinności ze świata schodziły, do trumny na głowę otrzymała wieniec z białych róż. Czy podania te zawierały w sobie prawdę, lub część jej, trudno było dowiedzieć się na pewno, ale w sali nowicyatu o zmierzchu szeptane, grozą powlekały młode twarze nowicyuszek i posępne ogniki krzeszały w zagasłych źrenicach opowiadających je starych, zgarbionych, zeschłych zakonnicek. Były to może tylko ciemne sny fantazy, które w ludzkie głowy spływały z pod sklepień napelnionych wiecznymi zmrokami, ale być też może, iż zawierały one w sobie mniej lub więcej wierne echa krzyków, któremi rozlegały się tu niegdyś, istotne, bardzo dawne tragedye. Co przecież było pewnem, to, że w celi siostry Kajetany, oprócz dwóch owych mglistych i w pół bajecznych przemieszkiwały w ciągu dwuwiekowego przeszło istnienia klasztoru, trzy inne istoty, również, choć w sposób całkiem odmienny tragiczne, z istnieniem dobrze już udowodnionem przez akta klasztorne, a względem ostatniej przez naoczne, świeże świadectwa. W przeciągu dwustu przeszło lat, trzy tylko siostry zakonne dosięgły takiego stopnia zaparcia się ciała i podniesienia ducha, że zapragnęły miejsce to zamieszkać. Ostatnią z nich była siostra Kajetana, która od lat dwudziestu zastępczyni już nie miała i której imię dotąd celi ta nosiła. Z pośród młodych zakonnicek prawie żadna nie widziała jej nigdy, starsze zaledwie przypomnieć sobie mogły parę razy dostrzeżone jej wnętrze i drogi do niej już nie pamiętały. Wiedzano tylko powszechnie, że w najdalszej głębi klasztoru jest jakieś ciasne, nigdy nie uczęszczane podwórko, z bardzo wysoko wznoszącym się, gęsto

okratowanem okienkiem, za którym, w wiecznym zmierzchu i nieprzerwanej ciszy, żyły i cierpiały dwie zbrodniarki i trzy święte.

Powszechne też było zadziwienie i wzruszenie na wieść, że siostra Mechtylda prosiła przełożoną o pozwolenie zamieszkania w celi Kajetany i wstąpienia w ślady trzech doskonałych ascetek klasztornej przeszłości, o których istniały podania, że włosiennicy nie zdejmowały z siebie nigdy, po kilkudziesięciu dniach z rzędu nie jadły, w trumnie sypiały, a przez ostatnie lata swych istnień, nie przestąpiły ani razu progu schronienia swego i do żadnej istoty ludzkiej ani jednego słowa nie wyrzekły. Wszystko to przechodziło wyobraźnię i możność bardzo nawet nabożnych i dość srogo umartwiających się siostr, inne, chłodniejsze, wprost grozą napelniało. Nie zdziwiły się też wcale wiadomością, że matka wielebna na swoją tylko odpowiedzialność sprawy tej brać nie chcąc, dla rozstrzygnięcia jej do kapitulnej sali na naradę wezwała matki, czyli starszyznę zgromadzenia, złożoną z zakonnic, które już około lat 20 przeżyły w ślubach zakonnych. Co tam półwieczną w wysokiej sali, dokoła marmurowego stołu, otoczonego adamaszkami obitej fotelami i na kosztownej posadzce stojącego, mówiono, jakie pytania zadawano stojącej przed starszyzną i wyroku jej oczekującej siostrze Mechtyldzie i jakie uczucia budziły jej odpowiedzi pokorne, lecz pełne nieugiętej woli i dokładnej praw zakonnych znajomości, niewiadomo; ale, na parę godzin przed wieczorem, wszyscy wiedzieli, że starszyzna przystała na jej żądanie, z tym jednym zastrzeżeniem, aby nie przestała ona udzielać, jak dotąd, codziennych lekcji rysunku i robót w nowicyacie. Była to zapewne matka Romualda, która przemocą pozostawiła jej to jedyne już okienko, otwarte na światło i powietrze — które Bóg stworzył.

Przed wieczorem, na krótko przed chwilą, w której dzwonek, *silentium* nakazujący, rozleść się miał po klasztorze, stara, zgarbiona, kaszląca matka Gertruda, która przechowywała klucze od strychów i śpichrzów, jeden z nich w dawno znać nieotwieranym zamku obróciła i nawpół otworzywszy małe drzwi, do malutkiego wnętrza wiodące, zadyszana od przebytych wschodów, zgarbiona, niska, ciężka, twarzą zwróciła się do stojącej za nią, wysmukłej, bladej jak opłatek siostry. We dwie zajmowały całą szerokość korytarzyka tak wąskiego, że podobnym był do szczeliny wyrzniętej w chropawych, potężnie grubych murach. Przez chwilę nie mówiła nic. Czoło jej było zakryte płócienną opaską, ale po szerokich, żółtych, zgrzybiałych policzkach zmarszczki tak drgały i biegały, jakby zaraz rozpląkać się miały.

— Niech Pan Jezus dopomaga i sił dodaje... — szepnęła nakoniec.

Pomilczała chwilę, potem równie cicho mówić zaczęła:

— Ciężkiem jest życie nasze. O, Jezu, czy ty ofiary nasze przyjmujesz? Pięćdziesiąt lat już w klasztorze przeżyłam... a pamiętam pokój, w którym tatko huśtał mię na swoich kolanach... Od trzydziestu lat nie wiem, co stało się z Jasiem i Ludwisiem, z Manią, Julką i Elżunią, a pamiętam ich, jak wyglądali, co do jednego... Trudno zapomnieć, że człowiek ze świata jest i z gliny ziemskiej... Pięćdziesiąt lat modłę się do Jezusa i jego tylko kocham... a pamiętam... O, Jezu, czy ty ofiary nasze przyjmujesz?

Trzęsła głową i ku wysmukłej towarzyszce wznosiła oczy ze staremi, mrugającymi powiekami. Ta, z dzbankiem w jednej ręce, a kilku nabożnymi książkami w drugiej, wyprostowana, odpowiedziała:

— On tylko jest dobrem i wiecznością, wszystko co ludzkie, wraz z ludzką pamięcią, to zło i znikomość.

Poczem, z pokłonem wymówiwszy: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, przestąpiła próg drzwi tak niskich, że głowy nieco ugiąć musiała.

— Na wieki wieków, Amen! — odpowiedziała matka Gertruda za zamkniętymi już drzwiami, z za których, dość długo jeszcze słychać było ciężki, chrypliwy kaszel, posuwanie się starych nóg po podłodze korytarza, a potem, wraz z głośniejszym zstępowaniem ze wschodów, zdające się wic i czepiac po chropawych, potężnych murach westchnienia: „Jezu, czy ty ofiary nasze przyjmujesz”!

Siostra Mechtylda przyniesiony dzbanek z wodą na ziemi postawiła i obejrzała się po nowym swoim siedlisku. Łatwo je było obejrzeć. Pięć kroków wzdłuż i wszerz, sufit tak niski, że wyciągniętą w górę ręką dotknąćby go mogła, pod nim, w jednej z poszarzałych od starości i wilgoci ścian, wpół okrągłe, zakratowane okienko, przez które nad kawałkiem ciemnego dachu, widać było wąski pasek nieba. Wspięła się na palce i przez malutkie,

żelaznymi prętami przysłonione szybki spojrzawszy, ujrzała, że znajduje się u wierzchu czegoś, co miało pozór studni, w ogromnych murach wydrążonej. Był to niezmiernie ciasny czworokąt, powstały z zetknięcia się czterech kilkopiętrowych murów, z których dwa posuwając się dalej tworzyły zamieszkiwane części klasztoru, a dwa inne, w malutkie otwory zamiast okien zaopatrzone, zawierały stare, opuszczone składy i śpichrze. Nigdzie żadnego okna, żadnej istoty żyjącej. W głębokim dole dawno znać rozrzucone kamienie i cegły, u szczytu, nad załamami dachów, mały płatek nieba, po którym jakby nigdy nie przepływało słońce, bo z pomiędzy kamieni i cegieł wyglądała czarna, wodę sącząca ziemia. Znowu zwróciła się do wnętrza i po ramionach jej przebiegło drżenie. Wywołał je ten instynkt nieprzewycięzony, który w żyjącej istocie budzi wstręt do grobu. W tej zaś ciasnej i niskiej izdebce, w ten dzień majowy i gdy słońce pełną tarczą nad zachodem jeszcze wisiało, panował przejmujący chłód i prawie gęsty zmrok, w którym, u dołu, odrzynały się od ściany zarysy stojącej na ziemi trumny. Wszystko tu od śmierci siostry Kajetany nieporuszone pozostało. Obok tej trumny, w której sypiała ona i może jej poprzedniczki, prawie do sufitu, wznosił czarne ramiona wielki ciężki krzyż, a u stóp jego, na niskim stolku, obok dziś postawionej tu lampki, bielą trupa głowa. Nic więcej.

Drżenie siostry Mechtyldy było instynktowe, lecz trwało długo.

— Bóg jest ze mną i tylko on — myślała i drżała ciągle.

Raz, niegdyś, pozwolono jej do tego miejsca zajrzeć, zapamiętała je i wiedziała, co w nim znajdzie. Dlatego też, że wiedziała, zapragnęła go w chwili niespodziewanego łamania się na dwoje wewnętrznej swej istoty. W gęstym zmroku, przed czarnym widmem krzyża, z opuszczonymi rękoma stojąc, myślała o tem, co ją tu czeka. Opowiadano jej, że do tego miejsca nie dochodzą żadne odgłosy panującego w klasztorze ruchu. Za temi drzwiami żadna droga do niczego nie prowadzi, nie mija ich też i nigdy nie zastuka do nich nikt. Za tem oknem nigdy żadna roślina nie zaszleści z wiatrem i żadne ptaszę nie zaszczebocze. Wieczna cisza, wśród której tylko nocami słychać rozlegające się i przewlekle echa, budzące stuki, upadki, tententy. To szczury, nietoperze i całe gniazda robactwa, żyjące na dole i naprzeciw, w rozległych, pustych strychach i śpichrzach. Wieczny także zmierzch i chłód, bo ani jeden promień wschodu lub zachodu tu nie przenika, a same upalne południa letnie nie osuszają dna tej studni, ani rozgrzewają potężnych, wiekową wilgocią i pleśnią przepojonych murów.

Tu pokutę swoją spełniały grzesznice i na niebo zapracowywały święte, niezbyt długo. O tych drugich zupełnie pewne daty i świadectwa opowiadały, że przez ostatnie lata swoich istnień, dla braku sił nie opuszczały już wcale dobrowolnego swego więzienia i wcześniej pomarły. Inaczej być nie mogło; siostrę Mechtyldę przypomnienie to napełniło radością. Wkrótce zapewne i dla niej przyjdzie czas, w którym będzie miała prawo nie wydalać się stąd wcale, nic już stworzonego nie widzieć, nie słyszeć, nie czuć i nigdy ani na chwilę nie przerywać swojego sam na sam ze Stwórcą. Potem, jak poprzedniczki jej, rychło umrze. Na klęczki przed krzyżem upadła i z wybuchem uśmiechów dziwnie ze łzami zmieszanych, wołała:

— Panie, pędź weź mię do siebie... Racz wziąć! litości!... pędź! pędź!

Nigdy żarliwsza modlitwa o rychłą śmierć z niczyich ust nie wyszła, może dlatego, że na dnie niczyjej piersi nie leżał cięższy i silniej w nią wrosły kamień cierpienia. Wyobrażała sobie, że pochodzi on od zbytcej jeszcze w klasztorze bliskości ziemi i że go w tem miejscu, tak do pustyni podobnym, z siebie wyrzuci. Teraz czuła, że to miejsce nie było jeszcze wszystkim, czego pragnęła i że z jej udręczenia, w którym mieszały się z sobą pierwiastki tęsknot, żalów, głuchych pożądań i niepokojów, nie było nic.

— Bóg jest ze mną i tylko on — szeptała i nie czuła żadnej pociechy. Pocieszyła ją dopiero myśl, o rychłych śmierciach poprzedniczek i nadzieja dostąpienia takiejże łaski. Przez nią uspokojona, długo modliła się w ciemności, wśród modlitwy przysłuchiwała się dzwonnkowi, który po klasztorze *silentium* ogłaszał, a tu dochodził z takiej odległości, że za brzęczenie komara wzięby go mogła. Potem, z klęczek powstawszy, zapaliła lampkę, która na tej malutkiej przestrzeni dość obficie oświeciła czarny krzyż, trupią czaszkę i na ziemi stojącą trumnę. Na tę ostatnią siostra Mechtylda, z podaną naprzód postacią i rozszerzonymi oczami, długo patrzyła. Zdało się jej i może tak było, że płótna, wyścielające jej wnętrze i leżąca u jej wezgiłowia poduszka, zachowały jeszcze pogłębienia i rysunek tego ciała, które ostatnie wśród nich umierało. Miały one zresztą barwę żółtawą i zalaty-

wała od nich woń stęchlizny. Trumna była bardzo stara, brzegi jej tu i owdzie kruszyły się od spróchniałości, trochę też próchna usypywało przy niej ziemię. Może w niej nie jedna tylko siostra Kajetana sypiała i skonała, ale i tamte także, jej dawne, bardzo dawne poprzedniczki? Siostra Mechtylda zaczęła szybkie spojrzenia rzucać po malutkiej przestrzeni, zewsząd grubymi murami zamkniętej. Z murów tych zdawały się wydobywać dziwne i rozmaite dźwięki: szczekanie opętanej, głębokie szlochy grzesznicy ziemskiej miłości, roz tęsknione westchnienia miłośnic nieba. Duszne powietrze przerzynały świsty dyscypliny, pod niziutkiem sklepieniem przeciągały litości wzywające szmery. Siostra Mechtylda drżała. Nigdy, ani włosienica, ani dyscyplina, ani srogie posty i bezsenne noce, nie budziły w niej takiego wstrętu, takiej trwogi, jakie czuła wobec myśli położenia się w tej spróchniałej trumnie, na tej zbutwiałej pościeli, pośród zamieszkujących tę czeluść widm jej przeszłości. Rozpoczęła zdejmować z głowy welon i z przejmującym dreszczem opuszczała ręce. Ciało jej zebrało wszystkie swoje siły, aby odepchnąć ten kielich, przed którym wzdrygało się w najgłębszych swoich wnętrzościach. Ale było to ciało i siostra Mechtylda z oburzeniem i wzdryką obróciła się przeciw niemu. Pokona je, dlatego tu przyszła, aby ostatecznie je pokonać. Niech wzdryga się od wstrętu, niech drży i kurczy się od trwogi, tem lepiej, tem większem będzie zwycięstwo duszy i łaskawszym zwrócony ku niej wzrok Boga. Drząc, wzdrygając się, kurcząc, pomimowolne, szybkie spojrzenia za siebie rzucając, zdejmowała welon i habit, oblekała włosienicę i prędko szeptała:

— Dla miłości twojej Panie! za zbawienie moje! za rychłą śmierć moją! za grzechy świata! Panie, Panie, za grzechy i nędzę świata!

Gdy niedaleko stąd, w samym ogrodzie klasztornym, purpurowe światła zachodu oblewały jeszcze białym kwiatem obsypane akacje, ona, w grubej ciemności wyciągnęła się na pogłębieniach pościeli, po konającym ciełe poprzedniczki jej pozostałych i z powstrzymaniem w piersi oddechem słuchała — ciszy. Była ona zupełną, grobową, nawet złudy szczeni i szlochów pomilkły; tylko zdala, jakiś szum wielki i nieustanny, do toczącego się w oddaleniu grzmotu podobny, dochodził tu tak głucho, jak do podziemia dochodzą wrzawy wznoszące się nad powierzchnią ziemi. Siostra Mechtylda wiedziała, że były to głosy wielkiego miasta, złane w ten jeden, nieustanny, głuchy szum, który tu więcej, niż do innych części klasztoru dochodził. Był to szum świata. Znała go niegdyś zbliżona, była niegdyś jednym z milionowych jego drgnięć, jednym z listków, miotających się w tym uraganie. Umiała więc teraz rozłożyć go na pojedyncze obrazy, które też długim sznurem przesunęły się przed nią, na tle ciemności. Ulice pstre od śpieszących tłumów ludzi; rozległe ogrody, pełne ludzi; wielkie sale napełnione światłem, muzyką i ludźmi; wysokie domy, od dołu do szczytu nalane życiem ludzkim; mrowisko, uwijające się, śpieszące, zdyszane, którego jednostki rodzą się po to, aby umierać, kochają się, aby obojętnieć, przysięgają, aby zdradzać, gonią za blaskiem, który jest błotem lub dymem, ściągają szczęście, a chwytają boleść. Jedna wielka gromada szaleńców, nie myślących o jedynej, ważnej swojej sprawie; sam grzech i szal, sama znikomość. Jak to szumi! Ile w tym szumie kłamstwa, chciwości, zdrady, zawodów, płaczu, westchnień! Jak to daleko szumi! O, Panie, dzięki ci, że tak daleko!

Świat miał nad nią podwójną siłę wpływów: ilekroć przypomniła go sobie w postaci czystej, cichej natury i swoich własnych, pomarłych złudzeń o miłości, przyjaźni i cnocie, powstawała w niej burza wspomnień i żalów; ale przed szumną, pstrą, śmiejącą się, grającą, za blaskiem i rozkoszą goniącą jego postacią, czuła ten sam przestach i tę samą wzdrykę, z jakimi po raz pierwszy w klasztorne progi wstąpiła. Teraz, od dalekości tego drugiego świata, którego szumu w ciemnym wnętrzu swojej czeluści słuchała, spłynął w nią dawno nieznanym spokojem. Uczuła się wobec tamtych, ślepych, poplamionych, zagrożonych, oświeconą przez Pana, czystą, bezpieczną. Z dna jej piersi zniknął kamień cierpienia. Odetchnęła szeroko. Uczuła na sobie okrywające ją do snu skrzydło boże i wyraźnie, z jasnością zupełnej halucynacji, ujrzała wzrok Boga, w postaci łagodnego promienia, przebijający mur sufitu i spływający na nią.

— Bóg jest ze mną i tylko on! — myślała i cicho, głęboko, jak dziecko usnęła.

Spokój ten nie opuszczał ją przez pewien szereg dni, w czasie których siostry widywały ją już tylko na chórze i niekiedy w refektarzu. Do tego ostatniego nie zawsze przycho-

dziła; było bowiem rzeczą wiadomą i z góry niejako postanowioną, że mieszkanka celi siostry Kajetany, którą teraz celą siostry Mechtyldy nazywać zaczęto, zadawać sobie musiała pośród wielu innych umartwienie częstych postów. Na korytarzach i wschodach klasztornych nie spotykano już jej nigdy; z czeluści bowiem, w której mieszkała, wiodły wszędzie przejścia przez nikogo nie uczęszczane, wąskie jak szczeliny, pełne zupełnie ciemnych załomów i jak drabiny wąskich, kołyszących się pod stopami wschodów. Na chórze nawet, do którego przychodziła zawsze, rozległa się dokoła niej samotność. Siostry, sąsiednie miejsca zajmujące, rzadko tylko i nieśmiało podnosiły na nią oczy; żadna z małych albo podrastających dziewczynek obok jej ławki nie klękała, bo nuż którąkolwiek pochwyliłaby ona tak, jak Klarcię, na gorącym uczynku roztargnienia i swawoli! Gdzieindziej zbijały się w gęstszej nieco kupkę, to miejsce, pośród wszystkich innych, pustem pozostawiając. Siostra Mechtylda spostrzegła to i spokój jej wzrastał. Świat usuwał się i oddalał od niej w jedynych już chwilach i w jedynym miejscu, wzajemnych ich spotkań. Przez wszystkie te dni mogłaby tu do żadnej żyjącej istoty jednego słowa nie wymówić i usta otwierać tylko do rozmowy z Bogiem, gdyby nie codzienne, stanowczo jej przez zwierzchność nakazane, lekcye w nowicyacie.

VII

Nowicyat był wielką, czworokątną, wysoką salą, z którą łączyły się sypialnie próbantek i nowicyuszek wraz z celą zakonniczy, pełniącej czynność dozoru ich i odpowiedniego kształcenia, a noszącej tytuł mistrzyni nowicyatu. Kilka jej okien i oszklone drzwi wychodziły na dziedziniec, ze starymi drzewami i sporym ogródkiem, w którym lekarские zioła zasiewano. W zimie nawet, przy zaścieniającym obszerną przestrzeń śniegu i okrywających drzewa brylantowych szronach, było to jedno z najweselszych miejsc w klasztorze. Teraz, od góry do dołu sala napełniona była powietrzem i światłem, wchodzącym przez drzwi i okna szeroko otwarte na dziedziniec, cały zaślany zielonością murawy i na którym ptaki świegotowały w drzewach, a z ogródka buchały mocne wonie mięty, czombru, szałwi, rumianku. W otaczających dziedziniec murach okna, do cel zakonnic należące, na oścież były pootwierane; niektóre miały za żelazną kratą wazonik z kwitnącą rośliną, lub klatkę z ptaszkiem. W ogródku zaś, pochylając się, to prostując, wrywając z ziemi chwasty albo kroplistą strugę wody z blaszanej polewaczki na dobre zioła lejąc, pracowała młoda, mała, z drobną i rumianą twarzą zakonnica. Pośrodku sali dokoła okrągłego stołu siedziały próbantki w szarych i białych welonach i nowicyuszki, które po wykonaniu pierwszych zakonnych ślubów nosiły już habit, lecz ani czarnego welonu, ani złotego krzyża na piersi jeszcze nie miały. Jedne z nich, białą materię okrywały splotami aksamitnych gron i liści, inne na aksamicie wyszywały złote hafty, inne jeszcze cerowały drogocenne, stare koronki, lub zręcznie obracały w rękach narzędzia i materiały, do wyrobienia sztucznych kwiatów przeznaczone. Stół piętrzył się pokrajaniami w różne kształty i wielkości kawałkami materii i aksamitów, złotem i srebrnymi nićmi, blaszkami, galonami, mnóstwem płaczących się z sobą pasm różnobarwnych jedwabów, zwojami starych koronek, mającemi pozór wzorzystych, żółtawych puchów.

Dokoła stołu robotnice siedziały na twardych stołkach, nad robotami pochylając głowy w białych welonach. Milczały. Cisza, w sali panująca, pełną była szelestów jedwabiu, skrzypów igieł przez grube materye przesuwanych, lub krających je nożyczek, postukiwania młotków, wybijających krochmalne muśliny, z których robiono kwiaty. Z za okien wpadał świegotliwy gwar ptastwa i basowy brzęk owadów; za jednymi z zamkniętych drzwi śpiewały przyciszone długie akordy pokojowego organu. To mistrzyni nowicyatu, najlepsza w klasztorze muzyczka, uczyła na instrumencie tym jedną z próbantek grania ku chwale bożej.

Siostra Mechtylda, w stojącej postawie nad dwoma próbantkami pochylona, bacznie przypatrywała się robotce, którą było pysznie aksamitnymi liśćmi i gronami przyozdabiane antepedyum. Czasem biały jej palec przesunął się po materii, wskazując drobną do poprawienia usterkę, czasem, wymawiała kilka cichych słów wskazówki lub biorąc ze stołu ołówek, jednym jego pociągnięciem rysowała jakąś nową, czy ozdobniejszą linię. Tylko co była tu przyszła, ale nie przez dziedziniec jak dawniej, tylko przez drzwi z wnętrza gmachu prowadzące. Nie potrzebowała już teraz, tak jak dawniej, idąc tu prze-

bywać pięknego, jasnego dziedzińca, ale ciemnymi korytarzami, po ciemnych wschodach spuszczała się prawie pod same drzwi tej sali, na słoneczne okna której, mijając je, nigdy ani jednego spojrzenia nie rzuciła. Rysy jej, bardziej jeszcze przez zwiększoną chudość zaostrome i całą postawę okrywał surowy spokój; z ruchów, spojrzenia i dźwięku głosu wiał doskonały chłód. Od tego chłodnego i surowego spokoju dziwnie odbijał żar gorączki, napęnlający zapadłe oczy, nad którymi często mrużyły się i przymykały od światła odwykłe powieki. Od próbantek wyszywających antepedyum przeszła do nowicyuszki, która na czerwonym aksamicie, złotymi nićmi haftowała ozdobny krzyż. Żar jej oczu wzmógł się, ale usta surowszemi jeszcze się stały, gdy na ten znak zbawienia długo patrzyła, poczem wzięła ze stołu zwój złotych jedwabów którymi brzegi stuły, ze złotymi krzyżami u końców, wydziergane być miały.

Wtedy, z drugiej strony dziedzińca, z drzwi przeciwległych tym, które w sali nowicyatu na oścież były otwarte, wyszła matka Romualda i powoli, z niepozbawioną wdziękiem powagą ruchów, po zielonej murawie dziedzińca iść zaczęła. Zamyśloną była, może nawet czemś stroskaną — klasztor miał wiele materyalnych i moralnych interesów, które jej głowę i sumienie obarczały — jednak, skoro tylko spojrzenie jej upadło na małą zakonniczkę, pracującą w ogródku z ziołami, uśmiechnęła się i ku niej iść zaczęła. Wiedzieli wszyscy, że przed rokiem zaledwie wyświęcona, od jakiejś dalekiej wsi i rodziny tu przybyła, siostra Wincenta była ulubienicą całego zgromadzenia, zarówno jak przełożonej. Nadewszystko inne lubiła ona pielęgnować chorych i kwiaty. Matka Magdalena aptekarka i zarazem ogrodniczka, wzięła ją od razu na uczennicę i przyszłą zastępczynię swoją. Uprawiała więc ogródek z ziołami, suszyła je, przyrządzała z nich leki, w wielkim klasztornym ogrodzie oczyszczała wiosną liście z robactwa, jesienią wykopywała i na świeże miejsce przenosiła krzewy, wszystko to pełniąc z tą samą gadatliwością, z jaką modliła się na chórze. Tam odmawiała modlitwy tak prędko, śpiesznie, że dziesiątą już skończyła wtedy, gdy inne siostry zaledwie rozpoczynały trzecią; tu także prędko i wiele mówiła do każdej dostrzeżonej istoty ludzkiej a w braku jej, pomimowoli, do drzew lub ziółek. Przytem śmiała się często, śmiechem przyciszonym, przez habit jakby przytłoczonym, lecz w którym dźwięczała naiwna wesołość i młodość. Chodziła równie prędko jak odmawiała modlitwy, cichym, zwinnym, do mysiego podobnym krokiem. Zakonne siostry, nawet stare i surowe, bądź dla małości wzrostu, bądź dla dziecinnej jej wesołości, nazywały ją siostrzyczką. Przełożona, z powodu małej, okrągłej, rumianej jej twarzy, dawała jej czasem nazwę różyczki.

Teraz, ujrzawszy zbliżającą się ku sobie przełożoną, siostra Wincenta z radością zaszczębiotała:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Mateczka wielebna idzie na moje ziółeczka popatrzeć! Dobry Pan Jezus zesłał im tej nocy śliczny deszczyk, a Matka Najświętsza dzisiaj słoneczkiem je ogrzała. Jak ślicznie zakwitły! Niech mateczka będzie łaskawa zobaczyć, co tu kolorów, i powąchać, ile tu zapachów. Czomberku najwięcej, ot jak dużo, taki liliowy, jak te ametysty, które moja siostra Zosia w wyprawie ślubnej od mamy dostała. Dla niej ametysty, dla mnie czomberki, na chwałę Pana Jezusa i na zdrowie siostrzyczek kwitnący. Wolę czomberki i Chrystusowi za swoją częśćkę dziękuję. A ślasy moje, jakie pyszne, widzi mateczka! Rozrosły się jak króle, rozkwitły jak malwy i cały plotek tak zakrywają, że ani go widać. Takie te kieliszeczki delikatne i blade różowe, a liść aksamitny, jakby srebrem pokropiony. Chwała niech będzie Bogu za cudne twory jego! W tym kątku, mateczko, rośnie piołunek i będą jeszcze kwitły nasturcye, a w tamtym rumianki, jak białe gwiazdki rozsypały się po trawie. Tu nasiałam troszkę mokrzyzki, dla kanarków matki Magdaleny, bo stworzenia te przecież śpiewają na chwałę Boską i klasztor rozweselają, więc myśleć trzeba i o nich. A tu... chi, chi, chi, chi, chi, chi, niech mateczka wielebna zgadnie, co w cieniu tej gruszy rośnie!... Aha! widzi teraz mateczka! niezapominajki! Nigdy tu jeszcze ich nie było, ale tak prosiłam matki Magdaleny, aby mi pozwoliła kąciczek mały ziemi zająć, że pozwoliła. Niech mateczka wielebna popatrzy, jakie to ma błękitne ze złotem oczka! Na nic to jest, do niczego nie przyda się człowiekowi, ani najęść się tem, ani napić się tego nie można, ale pięknnością swoją chwałę Stwórcy głosi i rozwesela ludzkie oczy. Chwała niech będzie Bogu, za cudne Jego twory!

Chodziły obie, czarne od habitów i welonów swoich wśród rozkwitłych ziół: jedna poważna i nieco ciężka, druga mała, szczupła i zwinna. Zatrzymywały się przy krza-

kach ślazu i dotykały ich aksamitnych liści, zrywały srebrny piołun i wciągały w siebie odżywczy jego zapach, nachyliły się nisko nad niezapominajkami i długo patrzyły w ich liczne, błękitne oczy. Gadatliwy szczebiot siostry Wincenty dolatywał do wnętrza nowicyatu, wtórzyły im zrzadka, trochę basowe odpowiedzi matki Romualdy; po schylnych nad robotami twarzach próbantek mknęły uśmiechy, w zamian, usta siostry Mechtyldy zacisnęły się jeszcze mocniej i strudzone, różowe jej powieki nie podniosły się ani razu z nad splątanych pasem jedwabiu.

Pogłaskawszy twarz młodej siostry i z uśmiechem nazwawszy ją różyczką, matka Romualda do sali nowicyatu weszła i po wymówieniu zwykłego nabożnego pozdrowienia, któremu wszystkie obecne osoby chórem głosów odpowiedziały, usiadła przy stole, na stolku zupełnie takim, na jakich siedziały próbantki i nowicyuszki. Przychodziła tu na jakąś jedną, poobiednią godzinę zawsze, ilekroć nie przeszkodziły jej w tem pilne klasztorne sprawy, lub reumatyzmy, na które wskutek wilgoci murów cierpieć zaczynała. Lubiła to miejsce widne i słoneczne, z dużą przestrzenią za oknami, w zimie białością śniegu, a w lecie zielonością trawy usłaną. Lubiła też może patrzeć na niezgasłe jeszcze rumieńce młodych próbantek i godziny codziennej obecności swojej tutaj używała dla nauczania niektórych z pomiędzy nich roboty sztucznych kwiatów, w której posiadała smak wytworny i wielką wprawę. Dziś także, pomiędzy dwoma próbantkami, robiąciami kwiaty, usiadłszy, wzięła do rąk odpowiednie materyały i narzędzia, i pilnie zajęła się układaniem cieniutkiej materyi w kształt różowego kielicha, ale milczała. Widokiem i szczebiotem siostry Wincenty na chwilę rozweselona, zamyśliła się znowu głęboko, kto wie czy nad sprawami klasztoru, lub duszy własnej, lub na zawsze opuszczonego świata. Nie była posępną, ani zagniewaną, tylko trochę stroskaną i smutną. Po dość długiej chwili podniosła głowę i we wzniesionych nieco rękach, ukazała przedziwnie kształtny i delikatny kwiat powoju, który do zielonej gałązki drucikiem przymocowany, ludził wybornym pozorem natury.

— Bardzo dobrze. Girlanda z takich powojów pięknie przyozdobi ołtarzyk Najświętszej Panny Łaskawej. — Rozpogodzona uśmiechała się do swojej roboty. Potem nieco monotonnym, do odmawiania modlitw widocznie przyzwyczajonym głosem, mówiła dalej.

— Praca uspakaja, praca pociesza, praca usposabia serce do cierpliwego znoszenia cierni życia i lepszego cieszenia się z jego darów. Bóg stworzył smutek, troskę, pokusy, potrzeby i naprzeciw nim wysłał pracę, mówiąc jej: „Pocieszaj, uciszaj, broń, karm, przyodziewaj!”

Powieki siostry Mechtyldy podniosły się i wnet znowu opadły, ale w tem mgnieniu oka strzelił z pod nich ku matce Romualdzie surowy i ostry błysk, a ust jej wyszły też ciche, pokorne, lecz trochę syczące słowa.

— Praca bywa często służebnicą grzechu, a owoce jej są znikome. Wszystko jest zagrożonem przez zło i wszystko przemija. W Bogu tylko obrona, pociecha, nasycenie i wieczne trwanie.

Matka Romualda nie odpowiedziała. Może od wszczęcia konwersyi z tak pokorną, a jednak tak śmiałą podwładną, powstrzymała ją myśl o jej świętobliwości, albo obawa narażenia wobec uczennic nowicyatu swojej powagi. Ponsowe jej usta na chwilę tylko przybrały wyraz niezadowolenia, które wnet w sobie zwyciężyła, czując, że znowu świętość tej siostry przyprowadza ją do grzechu. Ręce z robotą na kolana opuściła i ze wzrokiem w otwarte okno ukwionym, rzekła:

— Popatrzcie, dzieci, jak wdzięcznie kołyszą się z wiatrem gałęzie tego drzewa i posłuchajcie, jak wesoło szczebioczą ptaki... Bóg stworzył drzewa i ptaki, dobrze jest kochać i podziwiać dzieła Jego!

Gdy zaś młode głowy w białych welonach, podniósłszy się z nad robót, z wdzięcznością za udzieloną im chwilę spoczynku zwróciły się ku pływającej w słonecznym świetle zieleni, ona, głosem cichym i trochę śpiewnym, który ożywiał się coraz bardziej, mówiła:

— W kraju, nad którym Bóg rozciągnął szafirowe niebo i którego ziemię usiał czerwienią kaktusów i zielonością laurów, żył wielki święty, imieniem Franciszek, od rodzinnego swojego miasta, Franciszkiem z Assyżu nazwany. Ciało jego było mizerne, odzież nikczemna, lecz w sercu płonął mu brylant czystej, potężnej miłości dla wszechżycia

i wszechstworzenia. Ilekroć świat ubrał się tak jak dzisiaj w wiosenne klejnoty i hafty, on taką odmawiał modlitwę:

„Bądź pochwalony, Panie, za wszelkie stworzenie swoje, a zwłaszcza za najjaśniejszego brata naszego, słońce, które sprawia dzień i światło; piękne jest ono, promienne wielką światłością i twój obraz widzimy w niem, Panie!

Bądź pochwalony, Panie, za siostry nasze gwiazdy, które świecą na niebie, jasne i piękne.

Bądź pochwalony, Panie za wiatr i chmury, za niebo pogodne, powietrze czyste i wszystkie czasy, które stworzeniom dają byt i wsparcie!

Bądź pochwalony, Panie, za siostrę naszą wodę, pożyteczną, drogocenną, skromną i czystą.

Bądź pochwalony, Panie, za brata naszego, ogień, który oświetla noc, pięknym jest, błogim i potężnym.

Bądź pochwalony, Panie, za siostry jaskółki, niewinne, wesołe, lotne!

Bądź pochwalony, Panie, za matkę naszą ziemię, która rodzi owoce, trawy i kwiaty”...

Tak modląc się, gdy spostrzegł glistę wijącą się pośród drogi, przeniósł ją na murawę, zdala od stóp przechodniów, jagnię bronił przed napaścią kozłów; z pastki dobywał pochwyconą w nią liszkę; pokarm nosił ptakom na nieżyźne grunta; kochał czyste krople wody i strzegł, aby zdeptane lub zbrudzone nie były. To też gdy umierał, chmura skowronków, na dach lepianki jego zleciała i chociaż noc zapadła, ci kochankowie światła, jeszcze go swoją pieśnią kołysali do snu wiecznego.

Przestała mówić; a po chwili, w milczeniu, które nappełniło salę i mieszało się tylko ze świegotem ptaków za oknami i przeciągłym akordem organu za ścianą, rozszedł się szmer zcicha lecz dobitnie wymawianych słów.

— Próżność nad próżnościami i wszystko jest próżnością. Wspaniałe słońce oświeca ciemną ziemię. Drzewo usycha i zmienia się w próchno, na jaskółkę spada jastrząb, wodę czystą zatruwa ślina pijącej ją gadziny. Ten tylko, kto nad tem wszystkim mieszka jest czysty i wieczny.

Słowa te wypowiedziała siostra Mechtylda i spojrzenie jej znowu na mgnienie oka spotkało się ze spojrzeniem matki Romualdy, którego szafir schmurzył się i dumnie błysnął. Widocznie, wyzywano ją do walki. Czyżby w głowie tej siostry powstał zamiar wytworzenia w klasztorze rodzaju dysydenyizmu, narzucenia zgromadzeniu swego całokształtu wiary, przez walkę z tym, który szerzyła jego zwierzchniczka? Podniosła głowę i już odpowiedzieć miała, gdy widok biegnącej przez dziedziniec matki Norberty uwagę jej w inną stronę skierował. Mistrzyni pensyi biegła przez dziedziniec po swojemu, więc jak wicher, z rozwianymi skrzydłami welonu, tak piętami o ziemię mocno uderzając, że na murawie nawet sprawiało to głośny tentent. Wielki kłopot i niemniejsze zmartwienie malowały się na jej grubych, energicznych, żółtą skórą obleczonych rysach, a biała opaska aż do połowy czoła podniesiona ukazywała brwi czarne i gęste, gdy szerokim krokiem próg przestępując, mówić zaczęła.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! A to szczęście, żeż nakoniec matkę wielebną znalazła! Byłam w celi, nie ma, na chórze, nie ma! No, myślę sobie, pewno w nowicyacie, kwiaty robi i o świętych opowiada. To na chwałę Pana Boga, nie ma gadania, ale na pensyi, nieszczęście..... co tu robić? co tu robić?

Zdyszana na stołek upadła, białą opaskę na brwi ściągnęła i zapytała matki Romualdy nie słuchając, dalej mówiła:

— Nieszczęście wielkie i niebezpieczeństwo!... jedna z małych zachorowała... jeszcze wczoraj niedobrze jej było, ale myślę sobie: nic to, przejdzie! Od lekcji uwolniłam, tęgim rosołem karmić i herbatą poić ją kazałam, myślałam, że to tak sobie..... Aż dziś, bieda! Przychodzę zrana na pensję, mówią mi: Klarcia bardzo chora!...

Tu przerwała sobie mowę i insynktowo spojrzała w stronę, w której rozległ się brzęk stali o stół uderzającej. Widząc jednak, że to tylko nożyczki wypadły na stół z rąk siostry Mechtyldy, która też nie wróciła już do nich, lecz w ręce wzięła znowu zwój żółtych jedwabów, matka Norberta dalej i śpiesznie ciągnęła:

— Przychodzę, patrzę, leży na łóżeczku swoim, jak żużel rozpalona, z błędnymi oczami, nie bardzo mnie nawet poznaje... ciężko chora, nie ma gadania! Strzałę posłałam po lekarza. Przyszedł, obejrzał i coś powiedział? Jezu Chryste, miej nas w świętej opiece swojej... Niech matka wielebna bardzo się nie przeraża, ale to rzecz straszna, dla pensyi szczególnie straszna.... no, nie ma gadania, powiedzieć trzeba: tyfus plamisty!

Wyrzuciwszy z siebie dwa ostatnie słowa, pot z długich i żółtych policzków otarła i powolnym ruchem przeżegnała się, szepcząc:

— W imię Ojca i Syna i Ducha.

Matka Romualda słuchała opowiadania wyprostowana, uważna, teraz zaś wstała ze stołka i rzekła:

— Trzeba tę małą jak najprędzej od innych dzieci odłączyć, stanowczo i jak najprędzej.

— Nie ma gadania — wstając też i podniesioną znowu opaskę na brwi ściągając, zawołała matka Norberta — lekarz powiedział także: absolutnie i jaknajprędzej odłączyć...

Śliczna rzecz, gdyby zaraza po tych niebożatkach poszła... Nie ma gadania, że odłączyć, ale gdzie umieścić?... W infirmeryi pensyjnej, za blisko pensyi... w tej znów klasztornej...

Zawahała się.

— Za blisko siostr...

Matka Romualda przez kilka sekund milczała, aż powzięła silne znać postanowienie i zwolna mówić zaczęła:

— Dzieci te powierzone nam są przez rodziców i opiekunów, klasztor nasz fundowanym został z warunkiem, abyśmy nad niemi czuwały, wedle najsurowszych wymagań sumienia. Jeżeli niebezpieczeństwo zarażenia się grozić ma im, albo nam, my je przeciw sobie obrócić powinnyśmy. Rozporządź się, siostr, aby biedne maleństwo w infirmeryi klasztornej umieszczonem zostało.

Postanowienie to widocznie matkę Norbertę ucieszyło, ale nie załatwiło jeszcze wszystkich jej kłopotów. Mówić zaczęła, że Pan Jezus widać zesłał matce wielebnej takie mądre i święte natchnienie, bo istotnie, przecież one, zakonnice, wyrzekły się już świata i dóbr jego, a poświęciły się na umartwienie ciała. Jeżeli więc straszna choroba spaść ma na kogo, niech lepiej spada na nie, niż na te dzieci, które jeszcze swojej woli nie mają i wyboru czynić nie mogą. Rzecz słuszna, logiczna: nie ma gadania! Ale nie koniec na tem! Trzebaż biedactwo to pielęgnować! Na ręce służących zdać jej niepodobna. Rodzice tak daleko, że paru tygodni trzeba, aby list z wiadomością do nich doszedł, a drugich paru, aby przybyć tu mogli. Żadna z nauczycielek świeckich nie zechce i obowiązku nie ma... Koniecznie więc, jedna z siostr poświęcić się musi... tak poświęcić się, że przez cały czas pielęgnowania małej nie bywać już nigdzie, aby nie opuszczać chorej i po klasztorze zarazy nie roznosić. Któż jednak byłaby dotego sposobną i chętną, bo przecież takiego rozkazu nawet matka wielebna wydać nie ma prawa...

— Bardzo dobrze — odpowiedziała matka Romualda — ale pewna jestem, że pomiędzy siostrami znajdzie się nie jedna do tego ochotniczka. Wszakże — dodała ciszej nieco — wiemy wszystkie, jak i za co cierpieli rodzice tej małej... Niech Bóg, który stworzył niesprawiedliwość i naprzeciw niej wysłał odwagę, wynagrodzi im te cierpienia, co do nas, zwiększają one obowiązki nasze względem ich dziecka...

Matka Norberta z energicznym twierdzeniem, trzęsła głową i końcem palca łączyła z kątką oka ocierała.

Matka Romualda zaś uspakajała ją upewnieniem, że zaraz po niesporach przywoła do siebie wszystkie odpowiednie zadaniu siostry i w imię Chrystusa wezwie, aby jedna z nich dopełniła ziemskiego, ale świętego obowiązku. Tak naradzały się; za nimi przysłuchując się, stały w gromadkę zbite, nieco przerażone próbantki i nowicyuszki, przez drzwi od dziedzińca zaglądała różowa twarz siostry Wincenty, która o chorobie jakiejś zasłyszawszy, zwinnym swym krokiem tu przybiegła, w innych znowu drzwiach, tych, za którymi niedawno rozlegał się organ, stanęła wysoka, z uwiędłym i uduchowionym profilem a dłonią u złotego krzyża na piersi złożoną, mistrzyni nowicyatu. Nikt nie zauważył dość szczególnej jednak postawy, jaką miała siostra Mechtylda. Od początku toczącej się obok niej rozmowy zdawała się jej nie słuchać, bo usiłowała nie słuchać, ale wysmukła i nieruchoma, stała przy stole z powiekami spuszczone i obwisłymi rękami, z których na habit jej opadały długie, żółtości wszystkich odcieni, pasma jedwabiu. Można by

rzec, że w niezmiernej jakiejś walce skamieniała, tylko na blade jak opłatek jej policzki, wybijały się powoli małe, okrągłe rumieńce.

W niespełną godzinę potem, matka Romualda, uprzedzając wkrótce mające rozpocząć się nieszpory, kończyła w dużej rachunkowej księdze dodawanie długiej kolumny cyfr. Siedziała ona w swojej celi na dość skromnym, ale wygodnym fotelu, przy biurku z pięknego drzewa, z przyrządami do pisania i papierami okrytem. Cella była niezbyt obszerna, ale i niezbyt ciasna, z dwoma oknami za kratą na ogród otwartymi, ze ścianami przyozdobionymi parą religijnych obrazów dobrego pędzla, rzeźbioną z kości słoniowej sceną ukrzyżowania i porcelanową, o świeżych barwach kropielnicą. Przy jednej ze ścian, białe firanki ukrywały łóżko, u którego na pięknej posadzce leżał puszysty dywanik; w oknach, za kratami, kwitły miesięczne róże i fuksye. Pogrążona w rachunkach, które widocznie sprawiały jej nieco troski, matka Romualda jednak lekkie pukanie do drzwi usłyszała i podnosząc głowę zawołała:

— Proszę wejść!

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — odezwał się we drzwiach przyciszony głos siostry Mechtyldy. Cicho za sobą drzwi zamknęła i cicho przyszedłszy celę, przed zwróconą ku niej i widokiem jej wyraźnie zaniepokojoną zwierzchniczką stanęła, zapytania jej oczekując. Otrzymawszy je, z plamkami rumieńców na policzkach i z drżeniem ust, rzekła:

— W imię Jezusa Chrystusa, proszę cię, matko wielebna, abys mnie powierzyła pielęgnowanie tego ciężko chorego dziecka. Ze wszystkich sił ciała i duszy, o których użyczenie błagam Pana, usiłować będę jak najlepiej zadanie to spełnić.

Matka Romualda nie zaraz odpowiedziała, była bowiem bez granic zdziwiona i ze zdziwieniem wpatrywała się w stojącą przed nią siostrę. Po chwili dopiero wahającym się głosem zaczęła:

— Ty, siostrze, ty, pielęgnować chcesz to biedactwo! Bardzo dobrze, ale skądże to?... dlaczego? jakie pobudki? Mam prawo i powinnam wiedzieć o przyczynach, które wstręt twój ku stworzeniu zmieniły w chęć złożenia mu w ofierze zapewne... własnego życia?...

Tamta stała wciąż przed nią ze splecionymi u piersi rękami, z twarzą pochyloną, w której, nietylko już usta, ale wszystkie zda się muskuły drżały i po chwili dopiero, wzroku z nad ziemi nie podnosząc, bardzo cicho zaczęła.

— Zwyciężoną jestem, matko, cierpienie tego dziecka i grożące mu niebezpieczeństwo pokonały mnie... Ach, jakże trudno zapomnieć, że człowiek ze świata jest i z gliny ziemskiej... może Pan nie opuści mnie, bo idę tam, aby o jedną kroplę umniejszyć powszechne morze goryczy i o jedną chwilę od jednego życia oddalić śmierć... Idę tam, bo nie mogę... nie mogę zapomnieć...

Bez najłżejszego szelestu osunęła się na klęczki i ramionami kolana matki Romualdy obejmując, a twarz kryjąc w fałdach habitu, w cichym głębokim płaczu dokończyła:

— To jego dziecko i tej, przez którą go utraciłam....

Matka Romualda z podniesioną twarzą i wzniesionymi w górę oczyma, milczała, myślała. Zrozumiała znaczenie jej słów. Po raz pierwszy w tej chwili zrozumiała także to śmiertelnie zranione serce i przyczynę jego bez granic namiętnych ucieczek od świata — ku niebu. Wielką litością napełniły się jej oczy, gdy na opartej o jej kolana i cicho rozplakanej głowie obie dłonie położyła i z łagodną powagą rzekła:

— Bóg stworzył nieszczęście i cierpienie, i naprzeciw nim wysłał dobroć, mówiąc jej: czyń, lecz przebaczaj! Bądź, siostrze, wyrazem miłosierdzia życia, stojącego naprzeciw jego okrucieństwu i od srogiej boleści usiłuj obronić tych, którzy ci zadali najsroższą boleść.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/orzeszkowa-ascetka>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Ascetka*, Biblioteka Dzieł Wyborowych, Drul. Ed. Nicz i S-ka, Warszawa [1910].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Pawel Pacholec@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0601-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do **Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.